



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

MARYA ANNA CROSS

(Jerzy Elliot).

Jerzy Elliot to myśliciel i razem poeta, to rozumny i szlachetny pisarz, to talent wielki, ale pod tem wszystkim kryje się człowiek, kobieta i gdy przy świeżo zamkniętym grobie obliczają się jej zasługi literackie, owoce jej zawodu pisarskiego, gdy stawia się sobie przed oczy takie piękne, rozumne, głębokie dzieła: jak *Romola*, *Middlemarch*, *Adam Bede* i *Młyn na Floss'ie*, budzi się konieczna ciekawość dowiedzenia się czegoś o życiu tej, która tworzyła te piękności, której fantazyja malowała te obrazy, z której ducha wyszły postacie wiążące się z czytelnikiem węzłem interesu tak żywego, jak gdyby żyły rzeczywistości, czuły, myślały i cierpiały wespół z nami na ziemi. Chęć zajrzenia w głąb ducha ludzi wyższych przez poznanie szczegółów ich życia jest naturalną a nawet dobrą chęcią: chcemy poznać człowieczeństwo w jego podniesieniu wzniolejszym, dowiedzieć się: w jakich warunkach, w jakich okolicznościach życiowych tworzonem było to, co nas porywa i zachwyca, i jaka jest w tem część rzeczywistości, a jaka ideału jedynie, rzuconego przed siebie przez fantazyję poety? Życie tej, która pod pseudonymem Jerzego Elliot pozyskała sobie europejską sławę znakomitej powieściopisarki, z jednej strony ciekawości tej nie zaspakaja, z drugiej daje jej rozczarowania smutne; gdy zaś głębiej się w nie wpatrzymy, występują z niego sprzeczności, trudne do pogodzenia. Cały pierwszy okres młodości jest zasłonięty, niewiadomy ogółowi. Czterdzieści lat temu (1840 r.) przybyła do Londynu młoda, dwudziestoletnia

dziewczyna, Marya Anna Evans, niemająca w tem wielkiem mieście ani krewnych, ani przyjaciół, i zaczęła pisywać do pism peryodycznych, zarabiając w ten sposób na życie, które było zupełnie samotne i samodzielnie pędzone. Wiedzie je podobnie bardzo wiele dziewcząt, kobiet młodych, szukających zarobku i utrzymania w wielkich ogniskach pracy, ale te zwykle usiłują przytulić się do jakiegos domowego ogniska, do jakiegos rodziny: ona zaś przeciwnie, starząc sama sobie, ograniczyła się do samotnego mieszkanka, jakgdyby nie potrzebowała niczego więcej prócz pracy. Potrzebowała jej też przede wszystkim, lecz nie tylko, nie wyłącznie dla środków utrzymania życia: pióro dostarczyło jej prędko tego, ale w piersi dziewczyny mieszkał głód inny, który zaspokoić musiała, choćby kosztem ofiar najwyższych. Łaknienie wiedzy zamykało ją w samotności, w odosobnieniu: to, co pisała, wykazywało z jednej strony wiadomości niepospolite, naprzykład rzadką u kobiety znajomość matematyki i języków starożytnych, szczególnie łaciny, lecz z drugiej były braki, które zapragnęła uzupełnić. Nie znała języków nowożytnych, nie miała więc klucza do wielkiej skarbnicy literatur zagranicznych i stanowcza, odważna, trudu się nielekająca, zabrała się do pracy, ciężkiej już w tym wieku, a szczególnie dla takiego jak jej twórczego umysłu: do nauki francuzkiego, niemieckiego, włoskiego języka, kształcać się zarazem w muzyce, do której miała zamiłowanie namiętne i w której, jak pisze o niej Spencer we wspomnieniu pośmiertnem, dosięgnęła już takiego stopnia artyzmu i wyrobienia, takiej wiedzy muzycznej, że mogła być zaliczyć się między sztukmistrzów, a nie dylletantów. Natura jej bogata i wszystkimi stronami artystyczna, nie zamknęła się niemniej w tym jednym kręgu czarodziejskim; piękno we wszystkich swych objawach działało na nią silnie i zdolne było rozbudzić w niej zapal gorący. Studyowała też sztuki plastyczne z zajęciem wielkiem i pracowitem, obznajmiła się z ich hi-

storyą, zwiedzała galerie, muzea i przepędzała w nich chwile długie. Filozofia pociągała drugostronnie ten umysł głęboki i nienasycony wiedzy żądny; szczególnie psychologia i metafizyka miały dla niej ten urok nieprzeparty, jakie wywiera na pewnych ludzi bezdenność, otchłań. Napisała też potem w „*Middlemarch*“: „Ciagnie to człowieka niebezpiecznie, jak przepaść: wpatrz się w niezmierzoność a ogarnie cię zawrót głowy — zachcesz skoczyć i zgruntować za jakąbądź cenę“.

Ale wtedy, gdy zaczęła „gruntować“ przepaście, miała już obok siebie przyjaciół; byli to jej towarzysze, bracia po piórze: literaci, których sprowadzał do niej talent, zdradzający już swą potęgę w pierwocinach jej pióra, umieszczanych w *Blockwood Magazine* i *Westminster Review*, poważnem, krytyce i spekulacyom filozoficznej myśli przeważnie poświęconym miesięczniku. Spencer, Stuart Mill, J. H. Lewes, uczony fizjolog, późniejszy biograf Goethego, a ówczesny redaktor pisma: *Leader*, stanowili to grono, które ją otaczało teraz. Śmiałość i wysoki polot jej umysłu jednoczył ją z nimi, a oni nadawali kierunek jej naukowym pracom, wspomagali wskazówkami i rozstrzygnęli o drodze jej życia, o pierwszym skierowaniu jej umysłu. Później ujrzymy go samodzielny; gdy zakosztował wszystkich źródeł, tryskających w dziedzinie wiedzy, wybił się na tór swój własny, miał swą własną siłę lotu; teraz przeciw prowadzili go mistrze jej życzliwi. Spencer miał jej być wtedy najbliższym doradcą; on, w czasie nauki języka niemieckiego, miał z nią czytywać Straussa i Feuerbacha, których dzieła, przetłómaczone następnie przez nią, stanowią jej pierwszy taki występ literacki, który, nie ginąc w falach prassy peryodycznej, objawił czytającej publiczności literacką jej indywidualność. Strauss'a: *Leben Jesu* i Feuerbach'a: *Geist des Christenthums* wyszły już pod pseudonymem: Jerzy Elliot; pierwsze w 1846 r., drugie pod tytułem: *Essence of Christianity* w 1853 r. Wysoce piękny

i silny w wyrażeniu myśli język, zwrócił uwagę publiczną na nowego pisarza; od wydania przekładu Strauss'a Marya Anna została stałym członkiem redakcji *Westminster Review*.

Już też zaczęła teraz być znaną publiczności i pytanie: kto jest ta kobieta, pracująca na tak nieniewieściem polu? zaczęło się odzywać, zaczęło budzić ciekawość niezaspokojoną jednak. Gdy w 1857 roku rozpoczęła drukować w *Blackwood Magazine* pierwszy swój utwór z dziedziny fantazyi, utwór formy powieściowej: *Scenes from Clerical Life*, rozpowszechniła się pogłoska, powtarzana nawet przez prasę, że jest córką ubogiego wikaryusza z rolniczych okolic Środkowej Anglii i ztąd zna tak doskonale stosunki wiejskiego ludu, tak żywo i ciepło umie malować wnętrza ubogich chat i mało co zamożniejszych plebanij. Legenda ta była przecież fałszywą; to, co o zakrytej przeszłości jej można wiedzieć na pewno z ust poważnych, a blizkich Maryi Annie osób, powiadamia, że ojciec jej, Robert Evans, był rządcą dóbr w hrabstwie Warwickshire, gdzie w okolicy miasteczka Nuneaton posiadał własną posiadłość ziemską, taką *wolę*, na jakich gospodarują najdzielniejsi, najlepsi rolnicy angielscy: yeomeny, stanowiący jądro średniego stanu wiejskiego w Anglii i Szkocyi. Wysoka zacność i tegoś charakteru Roberta Evans, zapewniła mu najwyższe przywiązanie córki i uczynić go miała prototypem najszlachetniejszych postaci męskich w jej powieściach ze sfery życia wiejskiego; rysy z niej brane składać się mają na utworzenie Kalebę Garth w Middlemarch i Adama Bede, bohaterów powieści tem nazwiskiem zatytułowanej, a która, wyszedłszy w 1859 roku, zapewniła autorce ten rozgłos, który się stał wkrótce sławą europejską i przyniósł jej kolosalny majątek.

Robert Evans ma również być odmalowanym w Tuliwerze, szlachetnym i wspaniałomyślnym: z jednej strony jak kobieta przez serce miękkim, z drugiej tragicznie zaciętym i mściwym yeomenie z powieści *Mlyn na Flossie*, która, według ogólnego już zdania prasy angielskiej, ma być autobiografią.

Wyszła ona w 1866 roku. Pisała ją już czterdziestoletnia i ztąd tem tklawiej, tem rzewniej patrzając w tył poza siebie na dziecinne swe lata, na zaranie lat dziewiczych i poranek tej młodości, która już uszła. Do charakterystycznych rysów tego żywota kobiety należy to, że wszystko w jej życiu przychodziło dziwnie późno. Kończąc lat 40-ści napisała pierwszą książkę według obdarowania i kierunku ducha własnego; zamąż poszła kończąc lat sześćdziesiąt. A przecież życie to nie było leniwie pędzone, nie marnowano go, nie rzucono lat jego na pastwę próżniactwu i nudom, nie ociągano się z pracą i rozwojem danych sobie sił i zdolności. Tylko trzeba było sobie samej torować drogę przez życie, trzeba było samodzielnie wszystko zbierać na jego zapasy — trzeba było wreszcie znieść skutki wielkiego błędu. Czy skutecznie? Czy jest rzeczą możliwą zacierać przeszłość w jej śladach, wybitych jak w kamieniu? Marya Evans zachciała mieć przynajmniej na trumnie nazwisko niedwójznaczne i okupiła to anomalią dziwnie rażącą w kobiecie wyższego uczucia i głębokiego rozumu. Mommsen powiedział, że historia ludzkości pisana jest przez namiętność — namiętności piszą też dzieje żywotów większej połowy osobistości ludzkich:

(Dokończenie nastąpi).

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Jednego ranka, gdy panie jeszcze spały, bo zwykle wstawały późno, Ludmiła przesunęła się

z officyn do mieszkania Francuzki, która budziła się rano dla jakichś ablucyj zimną wodą, dla zdrowia swego uważając je za konieczne. Zdziwiło ją to niezwyčajne i w tej godzinie zjawienie się Ludmiły, która ją przywitała twarzą wesołą.

— W ciągu dnia rzadko się możemy spotkać, — rzekła. — Chciałam się pani przypomnieć.

Virey, dość skłopotana, przyjmowała ją niespokojna.

— Jestem już tu dość długo, — poczęła przybyła, — ażeby nabrać przekonania, że wszystkim tu zawadzam. Stryj w rozmowie dał mi zdala delikatnie do zrozumienia, że mają względem mnie jakieś plany... projekta... Nie mogłabys pani, której ja za dyskrecyją zaręczam, podszeptać mi... ułatwić ich domyslenie się?

Francuzka poczęła od tego, że się zakłęła, zaprzysięgła, iż o niczem nie wie, że nie jest wcale wtajemniczoną. Ludmiła jednak potrafiła ją tak wzruszyć, tak zmiękczyć, iż w końcu czulszą i otwartszą się stała. Słótko po słótku wydobywając z niej, z różnych stron ją zagadując, w końcu hrabianka posłyszała wzmiankę o Kanoniczkach... głuchą, niepewną, niejasną. Nie podniosła tej wiadomości, pominęła ją, jakgdyby niezrozumianą, zaczęła mówić o czem innym, zwróciła opowiadanie na dawne wspomnienia, i uśmiechając się serdecznie, pożegnała Francuzkę.

Dnia tego wyszła do obiadu ze zmienioną, wypogodzoną twarzą, jakgdyby mocne jakieś uczyniła postanowienie. Powrotowi wesołości i pewnej swobody zdziwiła się hrabina i Celina — nie mogły pojąć co tak odżywiło ten przywiedły kwiatek. Obie jednak, im mniej się domyslały, co zaszło w duszy Ludmiły, tem mocniej były zaciekawione i niespokojne.

— Uważałaś — szepnęła po obiedzie, matka córce — Co się Ludmile stało? Zasepione jej oblicze raczyło się wyjaśnić po raz pierwszy. Co to może być? Bo że nie bez przyczyny zmieniała się, za to ręczę.

— Nie wiem — odparła Celina — ja jej odgadnąć nie umiem; ona Sfinxem jest dla mnie.

Hrabina pogardliwą minkę zrobiła.

— Nadto jej czynisz zaszczytu — rzekła: — Sfinx jak sfinx, ale zręczna intrygantka.

Następnych dni pilnie uważano Ludmilę. Była ciągle wypogodzona, prawie uśmiechniona, spokojna i śmielsza niż w początkach. Duch jakiś w nią wstąpił. Hrabia Kanty przypisywał to sobie i tym kilku słowom, które jej szepnął do ucha. O Kanoniczkach mowy nie było; bo jeszcze zręcznego sposobu naprowadzenia nieznacznego na ten przedmiot hrabia nie był znalazł.

Z małemi zmianami stan ten przeciągnął się do późnej jesieni. Hrabina nie śmiała już otwarcie przed mężem występować przeciwko tej, którą z przekąsem zwała jego — protegowaną. Obchodziła się z nią grzecznie, zimno, dumnie, ale ostrożnie. Celina badała ją, podpatrywała z zazdrością, usiłując znaleźć w niej jakąś słabostkę, jakiś brak taktu w postępowaniu; lecz niemogąc ich odkryć, tem zazdrośniejszą była i nienawidziła jej bardziej.

Pewna swoboda w obejściu się ze wszystkimi, znacznie się teraz objawiająca, trochę śmiałości, jakaś pewność siebie, połączona ze skromnością — których Ludmiła nabrała od czasu rozmowy z panią Virey: nie były przyjemnymi ani hrabinie, ani jej córce.

Matka tę jakąś pewność, wzrosłą teraz, przypisywała temu, iż synowica czuła się protegowaną przez stryja. Żal miała hrabina Alfonsyna za to do męża.

— Coraz się potrosze emancypuje — szepnęła — ale rozumnie, obrachowana, czyni to stopniowo i nieznacznie. Dojdzie do tego, że nam zechem impnować.

Wśród takich trosk nadeszła późna jesień. Hrabina, samnasam będąc z mężem, przypomniła mu Kanoniczki; hr. Kanty tlómaczył się, jak mógł.

— Proszę cię, duszeczko moja — mówił — ja powoli ją do tego przygotowuję, gotuję, usposabiam; ale nie można znowu tem, jak sierkię w głowę, uderzyć, to się nie godzi. Dla sierkię nieszczęśliwej potrzeba mieć należne względy.

— Tak, tak! rozpieszczoną i zarozumiałą psuć jeszcze — odpowiedziała hrabina. Dowodzi to twój bardzo dobrego serca, ale fałszywej rachuby i słabości. Ją należy do tego przygotować, co ją w życiu czeka, do twardego losu.

— A dlaczegoż twardego? — odezwał się bojażliwie hrabia.

— Dlatego, że ona nie zasłużyła na inny. Pokory nie ma — kończyła p. Alfonsyna.

Hrabia rozmowę zwykle przerywał, jak mógł najrychlej.

Jednego ranka, właśnie, gdy wstał około godziny ósmej, i wchodzącego kamerdynera swojego, z którym był we cztery oczy niemal tak poufale, jak Julek z Buczyńskim, zaczął swym obyczajem pytać o pogodę, o pocztę i t. p., Bartecki (niegdyś z Bartka tak przemianowany) filut wielki — odezwał się po krótkiej informacyi barometrycznej.

— Nie wiem co to jest, proszę pana, p. Ludmiły podobno gdzieś niema.

Kanty oczy wielkie wytrzeszczył.

— Cóż pleciesz! niema? na spacer poszła? co?

— Ba! coś to innego się święci — poczęł zwolna Bartecki — ja tam, do tego się nie mieszam, ale...

— Ale cóż? co? — zawołał niecierpliwie, dobywając się z łóżka hrabia — gadaj — że, mruku. Wiesz, że ja tych półsłówek głupich nie lubię.

— A no, niema — rzekł Bartecki — i powszystkiem. Służąca Basia, którą ona odesłała spać do pałacu, pod jakimś pozorem, przyszła, slysze, do dnia i zastała łóżko nietknięte, a panny ani znaku.

Hrabia Kanty w neglizju wyskoczył z łóżka, przestraszony i blady.

— Jezus! Marya! — zakrzyknął — cóż to może być?

Właśnie myślał — narzuciwszy szlafrok, wybiedz z tem do żony, gdy hrabina z włosami rozrzuconymi, blada, zdyszana, wpadła jak piorun.

— Masz! masz! — wołała przy wejściu — masz wdzięczność za swoje dobrodziejstwa! masz co ci twoja ukochana synowica urządziła — masz! Uciekła! uciekła! aby ludzie mówili, że z nami wytrzymał nie mogła.

Bartecki, zaledwie usłyszawszy pierwsze słowa, drapnął conajprędzej; hrabina padła na krzesło.

— Nie wiem — dodała — bo to wszystko być może; takich jak ona, nikt nie spenetruje — może uciekła z kim... I największe jest do tego podobieństwo, bo samaby sobie rady nie dała.

Nie posądzam, ale z jej stosunków z hrabią Zygmuntem możnaby wnosić, że on może pochwylił ją. A cóż? Nie głupi się potem ożenić.

Rozśmiała się złośliwie.

Hrabia stał osłupiały; wargę dolną mu zwiśla, gęba się otworzyła i zamknąć nie mogła, co tylko w największych trafiało się wypadkach, oczy zdawały się jakby załzawione. Słuchał i myślał coś.

Gdy żona skończyła — rzekł po milczeniu długim.

— Głupstwo! Uciekła, tak, boście się z nią obchodzili, ty i Celina, że wytrzymać nie mogła.

Czy to ja tego nie widziałem?

Grzecznie niby — ale...

Ręką dokończył.

Wystąpić tak jawnie przeciwko żonie, — nie trafiło się nigdy hrabiemu. Alfonsyna padła na poręcz krzesła, gniewem do nieprzytomności doprowadzona.

— Co? ty śmiesz mi to wyrzucać? Ty? Miałam tego gagatka nosić na rękę? Dość się dla niej namęczyłam. Jeszcze i tego było mało. A, to mi się podoba! My, my z tą biedną Celinką winne... my! Tamta aniół i męczennica!

Hrabina wstała, poczynając się przechadzać, a Kanty znowu stał z tą wargą dolną zwieszoną — jak przybity.

— Przecież coś, czy napisać musiała, czy...

Ruszył się, niezważając na żonę, która nań patrzyła, ciskając pioruny oczyma, czego szczęściem nie widział; ruszył do drzwi i poczęł wołać Barteckiego.

— Wołaj mi tu tej Basi, a jeżeli na folwarku jest Zameczyński, wezwać go także.

Hrabina, widząc, że na nią nie zważa i nad wszelki wyraz i spodziewanie jest dotknięty, obrażona tem lekceważeniem, wybiegła.

Przywołana Basia weszła do pokoju, więcej roz-

gorączkowa rola, jaką odegrała, niż zmar-twiona.

— Jakże się to stało?—zapytał hrabia.

— Jak? ale ja, proszę p. hrabiego—zaczęła żywo dziewczyna, ja mogę się zakląć i na krzyż święty poprzysiądz, że ja o Bożym świecie nie wiedziałam. Nic—nic. Panią była dla mnie dobra, ale żeby kiedy miała co zwierzyć, to nigdy.

Wczoraj wieczora, u nas, w officynie, przepalano dla wilgoci; panią sama prosiła. Potem weszła do mojego pokoju wieczorem i powiada do mnie:—A! fe! tu coś trochę czad słycać. Nie spij-że tu, proszę cię, nie pozwalam. Idź do pałacu, bo cię głowa rozboli. Co prawda, że czadu było mało, ale panią kazała—więc poszłam. Zrana przychodzę, myślałam, że śpi; czekam, czekam, a ona zwykła była raniusko się zrywać—śpi. Myślę sobie, może chora. Poszłam na palcach; kiedy spojrzę, Jezus! Marya! aż mi się zimno zrobiło. Łóżko nietknięte; panny niema.

A no, jeszcze myślałam, że może poszła gdzie, bo łóżko czasem sama zaścielała. Ale kiedy poczną się rozpatrywać, futerka niema, kaloszków niema, a tu i torby niema i zegarka niema. Wielu rzeczy brak; tak-em dopiero, przestraszona, pobię-gła dać znać pani hrabinie.

Wśród tego opowiadania nadszedł Zamczyński; zobaczywszy go hrabia, na Basię już nie zważa-jąc, zwrócił się do niego z oczyma pytającymi.

Zamczyński, typowy ekonom, wąsaty, starego autoramentu, z nosem dobrze zaczerwienionym, ruszał już ramionami i rękami potrzasał, nim mó-wić rozpuścił.

— Ja już, proszę jaśnie pana—rzekł—robiłem indagacją, trudno to tak wraz dojść do kłębka, ale nici są. To pewna rzecz, że w austeryi na go-ścińcu ktoś nocował, bryczką krytą; mężczyzna tak niemłody, panna tak niby garderobiana. Po-tem długo się spać nie kładli, chodzili, kręcili się, aż nocą konie kazali zakładać i—pojechali.

— Któż to był? jak?—zapytał hrabia.

—A, kto, to arendarz nie wie—rzekł ekonom—ale supponuję, że z nikim innym, tylko z tym pa-nem wyjechała.

— W którą stronę?

— Tego to arendarz też nie obserwował, ale po śladach kół możnaby dojść — odezwał się Zam-czyński.

— Ależ, u kaduka—przerwał hrabia.—Ze dwo-ru do austeryi na gościńcu drogi kawał.

— Otóż parobek Pietruszka mówi, za co ja za-ręczycie nie mogę czy prawda—dodał ekonom — że w nocy słyszeli, jakby coś jechało pod officynę.

Hrabia, poruszył ramionami.

— Mój Zamczyński—rzekł żywo—siądź ty mi zaraz na konia i ruszaj, wybadaj, dokąd? Może dostaniesz języka? Proszę cię.

Ekonom zawinął się gracko i wyszedł. Bartec-ki się wsunął.

Hrabia w myślach pogrążony, siedział w krześle.

— Mój Bartesiu—odezwał się — idź do officyn, popatrz, ty masz niezłe oko. Nie może być, aby czegoś nie zostawiła. List być musi. To niepo-dobieństwo! A każ mi tu podać kawę, bo....

Nie skończył i wpadł znowu w zadumę.

We dworze kipiało i poruszało się wszystko. Ludzie oblegali officynę. Hrabina właśnie, sama niechcąc iść, posłała Virey do mieszkania Ludmi-ły, gdy z drugiej strony nadszedł Barteccki. Ze-szli się we drzwiach i razem weszli do pokoju, w którym zwykle rysowała, pisała Ludmiła i przyjmowała, jeśli kto przyjechał do niej.

Virey poczęła krążyć dokoła, gdy zwawszy, choć stary, kamerdyner, dostrzegł na wierzchu biurka list zapieczętowany, i pochwyił go.

Zbliżyła się Francuzka. Na kopercie stał adres hrabiego.

Barteccki, pokazawszy go tylko, natychmiast z nim ruszył do pałacu. Hrabia, zobaczywszy kopertę, chciwie po nią rękę wyciągnął.

Łzy mu się zakręciły w oczach. Czytał co na-stępuje:

„Kochany stryju.— Zaklinam cię, ażebyś mi za złe nie poczytał kroku tego, do którego byłam zmuszoną. Oddawna miałam najmocniejsze posta-nowienie, nie być stryjowstwu ciężarem, i jak ży-czył sobie ojciec nieboszczyk, bo mnie do tego przygotował, iść w świat o własnych siłach.

Wiedziałam dobrze, iż gdybym to postanowie-nie stryjowi oznajmiła, dobroć jego nie dozwoliła-by mi rzucić się tak samej w świat. Dlatego mu-siałam wykraść się potajemnie z gościniego domu stryjowstwa. Niech mi to będzie przebaczone, i niech stryj kochany wierzyć raczy, iż nigdy a ni-gdy dobroci jego dla mnie nie zapomnę i całemu domowi stryjowstwa za przytułek dany sierocie zachowam wdzięczność do grobu. Kochany stry-ju, pobłogosław mi, proszę, a nie utyskuj nad lo-sem moim. Czuję w sobie siłę do tej walki, którą przedsięwzięję. Nie wiem, jaki los mnie spotka, lecz o to spokojnym bądź, że imieniu naszemu nie uczynię wstydu, że w złej czy dobrej doli, godnie nosić je potrafię. Ubóstwo nie kała, praca zaszczyt przynosi. Nie jestem na początek zupełnie pozbawioną środków potrzebnych do rozpoczęcia jakiegoś zawodu. Ze sprzedaży ruchomości, któ-re zostały uznane za należące do mnie, coś się ze-brało. Upraszam stryja, aby to, co pozostawiam w moim mieszkaniu, mogło być zachowaniem aż do zgłoszenia się mojego. Są tam pamiątki dla mnie drogie, których zabrać nie mogłam. Kończę, ca-lując ręce kochanego stryja i dziękując mu, rów-nie jak stryjence i Celinie za dobroć ich dla mnie i t. d.“

List hrabia drżącą ręką położył na stole przy sobie, gdy uwiadomiona o nim przez Virey hrabi-na, przysłała, dopominając się o odczytanie.

Hrabia dał go, wybaknąwszy:

— Prosię hrabiny, aby mi go zaraz odesłała.

Skutkiem pierwszym tego niespodzianego wy-padku było, że hrabiowstwo długo z sobą nie mó-wili. Do obiadu przyszedł pan Kanty nachmu-rzony, wprawdzie skłonny już do zawarcia poko-ju, lecz jeszcze nie dosyć złamany i skruszony, aby żona mogła mu przebaczyć.

Pierwszym z gości, którzy się zjawili po rozej-ściu się wieści o ucieczce p. Ludmiły, był hr. Zyg-munt.

Kanty przyjął go naprzód sam w salonie, bo pa-nie ociągały się z ukazaniem.

Mówiono o rzeczach obojętnych, gdy gospodarz, który nie umiał długo wytrwać w milezeniu, jeśli go co piekło—odezwał się sam do gościa:

— Juści, hrabio, słyszałeś?

— Mówiono mi.

Kanty dobył list z kieszeni.

— Przeczytaj—rzekł—ale niech to będzie mię-dzy nami.

Zygmunt schwył list i poczęł przebiegać ży-wo oczyma, jakgdyby go chciał połknąć odrazu.

— No, co mówisz?—spytał hrabia.

— Że jest to piękny, szlachetny, zacyjny chara-akter, obudzający najwyższy szacunek, największą sympatyą — odparł głosem wzruszonym hr. Zyg-munt.

Kanty głową potwierdził, ścisnął go za rękę i list śpiesznie włożył do kieszeni.

— Nie mów, żem ci go pokazywał—szepnął—nawet przed Alfonsyną. Niech to będzie....

Nie dokończył, gdy weszły hrabina z córką. Zło-śliwy i badawczy wzrok rzuciły obie na hr. Zyg-munta i na Kantego; ale gość dość dobrze ode-grał obojętność, a Kanty przybrał swą fizjogno-mią powszednią, nie powiemy głupkowatą, ale apa-tyczną.

Po krótkim wstępie hrabina nie mogła wytrzy-mać i ożwała się cierpko.

— Zasmuci to zapewne hrabiego, że nie znaj-diesz w domu naszym tej, dla której dosyć oka-zywałeś sympatyę; p. Ludmiła nie raczyła dłużej zaszczycać nas swą obecnością, wzgardziła naszą opieką i—puściła się w świat, ceniąc wyżej swo-bodę niż nasze dla niej serca.

Gdy to mówiła hrabina z rosnącym gniewem, Celina z uśmiechem szyderskim wpatrywała się w hr. Zygmunta.

Gość słuchał chłodno.

— Smutne to jest — odparł po namysle — ale trudno sądzić i potępiać osobę, tak przez los do-tkniętą.

— O! ja byłam pewna, że hrabia jej nie potę-pisz—wtrąciła hrabina, ale też i nas nie obwinisz. Byłeś świadkiem, z jakimi względami przyjmoli-smy ją w domu naszym. Nie mamy sobie nic do wyrzucenia, a ja czuję do niej żal wielki,

To—niewdzięczność.

Ci, co nas bliżej znają, jak p. hrabia, nie obwi-nią; inni.... a! cóż robić! Poczekamy! Usprawie-dliwi nas, spodziewam się, przyszłość.

Hr. Zygmunt nie przeciągnął rozmowy w tym przedmiocie. Zwrócił ją zaraz zręcznie na przed-miot inny, dając poznać, że mu o tem mówić było niemilem. Zachowanie się jego całe w czasie od-wiedziny tak było odmienne od zwykłego, tak cią-gle posepnym był, miłym i unikającym alluzji do wypadku tego, że—hrabina nabrała przekonania, iż się wistocie kochał w Ludmile.

Odwiedziny jego, dawniej dosyć częste, na długi czas zawieszono zostały. I to miało swe zna-czenie.

Tymczasem Kanty śledził pilnie: co się z syno-wicą stać mogło. Posądzając Tarkowskiego, o któ-rego przywiązaniu do Ludmiły wiedziano od Vi-rey, posłał do niego z zapytaniem: czy nie wie co się z nią stało?

Odpisał Tarkowski jakoś niejasno, zakłopotany, z ubolewaniem, z odwołaniem się do opieki Bożej, jakgdyby o niczem nie wiedział.

Badanie ludzi potwierdziło, że Ludmiła wistocie musiała z temi, w austeryi oczekującymi nie-znajomymi osobami, ujechać. Dokąd? niepodobna dojść było.

Hrabina, która miała najgorsze wyobrazenie o synowicy i domyślała się tylko tego, co się z niem zgadzało, utrzymywała teraz, przekonawszy się, iż hr. Zygmunt nie miał w tem udziału, że Ludmi-la musiała jakieś dawne stosunki z kimś utrzymy-wać, i że skutkiem romansu zapewne z kochan-kiem, do którego przyznać się wstydziła, uciekła z domu stryjowstwa. Potwierdzała to pozornie okoliczność, o której się teraz dopiero dowiedziano, że Ludmiła bardzo często posyłała na pocztę, odbierała listy jakieś, których nikomu nie pokazy-wała, pisała sama, a w ostatnich dniach przed ucieczką korespondencya ta była tak czyn-ną, iż posłańcy, codzien przez nią najmowani, jeź-dzili do miasteczka.

Hr. Alfonsyna tak się ugruntowała w tem prze-konaniu, że nawet do pewnego stopnia wpoić jej potrafiła mężowi. Kanty opierał się, zaprzeczał, ale, słaby we wszystkim, uniewinniając biedną sierotę, poczynął w duchu myśleć, iż mogła w isto-cie szukać opieki czyjejs i starać się wyjść za mąż, choćby za człowieka—nierównej kondycyi. Stał tylko przy tem, iż chyba zamażpójście mogła mieć na widoku.

W początkach bardzo silne wrażenie, jakie wy-warł wypadek, powoli się zacierало. Sąsiedztwo, niezbyt życzliwe hrabinie, a hrabiego zowiące pantoflem, przez czas jakiś wygadywało; potem tłumaczenie hr. Alfonsyny oddziaływać zaczęło i różne czyniono przypuszczenia; naostatek zapo-mniano o wszystkim.

Do tych, którzy najdłużej zachowali pamięć Ludmiły, należał trzpiotowaty, płochy, ale mocno zajęty kuzynka, Julek. Okazał się on nawet nad wiek i nad usposobienie stałszym w swej dziecin-nej miłości. Chociaż Ludmiła zbywała go prawie pogardliwie, pozostał jej wiernym, i Buczyńskie-go, który się z niego wyśmiewał, dręczył wspo-mnieniami swojemi, a nieustanną gadaniną o ubó-stwianej. Buczyński śmiał się i wydrwiewał ucz-nia, który go łajał, kłócił się z nim, ale, potrzebuj-jąc z kimś rozprawić o swojej miłości, nie dawał mu znią spokoju.

(Dalszy ciąg nastąpi)

OBOWIĄZEK.

(Dalszy ciąg)

Pracę nazywa Smiles obowiązkiem w czyn wcie-lonym i taki też tytuł nosi drugi z kolei rozdział jego książki. Pierwszy wykazuje, że poczucie się do obowiązku, to odzew sumienia, które jest głosem z Boga idącym i wiodącym nas do Boga przez wykonane to Jego prawo. Zatem obowią-zek spełniony, to działające w nas sumienie, a po-

siadanie tego sumienia i zachowywanie go, nie zagłuszanie w sobie, to naodwrot pierwszy i najwyższy, najważniejszy nasz obowiązek, bo podstawa wszystkich innych: kształcenie charakteru, wyrabianie samodzielności, tej najwyższej potęgi i godności człowieka. „Duty-Conscience“ zatytułował autor rozdział dzieła pierwszy; „Duty in Action“ jest drugim, przedstawiającym ważność pracy, pracowitości. Rodzima, ludowa mądrość nasza dochodzi do tego samego wniosku, co Smiles: — Bez pracy, nie będzie kołacy.... Pieczone gołąbki nie wpadną same do gąbki.... uczą przysłowia nasze, czyli powiadają nam: — bez pracy niema nic; przez pracę dochodzi się do wszystkiego; przez pracę wszystko się otrzymuje. Smiles twierdzi to samo i w następstwie doskonałość duchową czyni zależną od pracy, bo praca jest środkiem wykonywania obowiązku. „Czyż szlachetne rzeczy, zamiast marzyć o nich dzień cały.... woła w jednej z poezyj swoich Karol Kingsley; Smiles nazywa próżniactwo rdzą tak dla ducha, jak dla ciała, a nuży ono więcej, aniżeli praca. Schiller czuł się bardzo szczęśliwym wtedy właśnie, gdy mógł wykonywać pracę mechaniczną, dlatego też jego zdaniem „zmysł estetyczny, uczucie piękna nie stanęło jeszcze nigdy na przeszkodzie żadnemu obowiązkowi“.

Praca wchłania nas w siebie, więc nieraz zbawienie od naszego ja odrywa; praca hartuje nas i czyni silnymi, a nikt nie wie jak i kiedy przyjdą na nas czasy ciężkie—doświadczenia życia. Moc ducha, zachowana wtedy, daje nam, nawet wśród cierpienia, pogodę umysłu, jaką odczuwamy zawsze, gdy obowiązek wypełniony został. Szkoła trosk jest też najlepszą szkołą siły i karności moralnej, bo trzeba je znosić mężnym sercem i odważnym umysłem, aby przewyciężyć i zapanować nad niemi. Dlatego-to Arystoteles mówi, że szczęście nietyłe zawiera się w okolicznościach zewnętrznych, jak w naszej własnej sile ducha, w jego energii. Silną ręką powinno się dzierżyć wodze życia w nieszczęściu. Wiara w siebie, w możność dokonania zamiarów przedsięwziętych, stanowi o powodzeniu naszym. Zdolności nasze wzmacniają się wtedy—wzmacniają się w chwilach potrzeby i walki; człowiek samodzielny nie schodzi też przeciwnościom z drogi, nie omija ich tchórzliwie, ale śmiało czeka na nie, aby je zwalczyć. Pamiętnik ludzi, którzy walczyli z okolicznościami i zwyciężyli je, utworowali sobie, ich środkiem, drogę do wytkniętego celu, byłby dziełem wielce pożytecznym dla młodocianego wieku, gdyby jeszcze w dodatku istniał wierny obrachunek tych, którzy, walcząc mężnie z życiem, przegrali zupełnie. Smiles nie sądzi, aby ich było więcej niż jeden na sto, szkoda tylko, że nie dodaje tu, co zapewne wydaje mu się rzeczą naturalną i zrozumiałą dla każdego, a to: że kość losu w walce takiej pada na stronę wygranej nie przez każdego dostrzeżonej, często nawet dla samych zapasników. — Werhoffen kann—entbehre.... woła Schiller w przepysznym swym wierszu *Rezynnacya*. Kto walczył o wielkie skarby, niedające zmieniać się na złoto, na używanie, na mienie i tytuły, a nie stracił przez ciąg życia wierzeń swych i nadziei, nie wyziębł serca z miłości ideałów młodych, kto uniósł w całości to bogactwo duchowe i przez czyny uczciwego żywota przekazał je, aby — jak Smiles wspominał wyżej—żyły, działały, spełniały obowiązek w pokoleniu, które po nim przyjdzie, ten jest zwycięzcą, a nie zwyciężonym. Kiedy poeta woła do Boga: — Lecz ducha—śmy nie dali! jest to wielki okrzyk tryumfu, po którym już go nie można zaliczyć do zwyciężonych....

Należy przeprosić czytelnika za ten mimowolny przypisek do szlachetnych, mądrych rozumowań Smilesa. Wcisnął on się gwałtem pod pióro, które już sobie nie pozwolił przy tej pracy streszczenia na drugi wybryk taki, wiążący się jednak dobrze z tem, co Smiles pisze następnie o statystyce zwycięzców losu, doli i niedoli ludzkiej. Trzeba ich umiejętnie obliczać, aby się nie pomylić. Pierwsza, druga, dziesiąta nawet porażka, to jeszcze nie przegrana: dopiero u końca usiłowań takich pisze się słowo ostatnie: powodzenie lub upadek.

Chęć posiadania bez trudów, jest znakiem słabości i lenistwa. Co tylko godnym jest pożądanego, co warto jest zdobywać, przychodzi nam za po-

średnictwem pracy, za pośrednictwem rozkoszy pracy. Niejeden bardzo wyraźnie okazuje, że woli przemysłne zajęcie, zdrowe ćwiczenie władz swych i zdolności przy robocie najcięższej, nad spoczynek, nad czas letargicznej drzemki; bo też, badając naturę pracy przekonamy się, że źródłem jej ulubienia, źródłem przyjemności z niej płynących, jest ona sama: ona i jej trud, rozwój zdolności naszych wśród pracowitych wysiłków, a nie te owoce otrzymanego zysku, po które—śmy sięgali.

Praca zatem jest sama sobie celem, sama w sobie błogością, ale niemniej potrzeba na to wiary, że coś z tego ziarna, które przez nią w grunt wsiewamy, zakiełkuje i wyda plon dobrego czynu. Co człowiek zaczyna z myślą — byle uczciwą—o sobie samym, to Bóg obraca ostatecznie na korzyść ogólną. Czyż jakiegokolwiek z dzieł naszych jest skończonym? Odchodzimy je w połowie, ale ktoś drugi przystępuje za nas do pracy dalszej i prowadzi ją, już o jeden więcej rozum ludzki ulepszoną, bliższą doskonałości. Jak my braliśmy spuściznę wieków, tak nam należy zostawić po sobie zamiary szlachetne, wzory godne naśladowania. Mało ludzi może też naprowadzać na myśl, że istnienie ich jest całkiem niepożyteczne: sam fakt że są, że żyją, już wykazuje potrzebę ich istnienia. Świat jest lub był dla nich tak otwarty, jak dla każdego: wolno im wybierać między złem a dobrem, między pracą użyteczną a niepotrzebną na nic i dla nikogo bytem próżniactwem. Czy próbowali innego rodzaju życia nad leniwe i egoistyczne vegetowanie? Czy szukali prawdziwie szczęścia i zadowolenia? Rzeczywiste zadowolenie, rzeczywisty błogostan nie dostaje się istotom leniwym; jest on owocem pracy i trudu pożytecznego; obojętność i całkowite oddanie się sobie samemu, nie dają ich nigdy.

Jako smutny przykład takiego stanu martwoty duchowej, takiego wstrętu do życia, gdy zmysły już się znużą i stępią, przedstawia Smiles w młodym Amerykaninie, z miejscowości Capron w Illinois, który w 1868 roku zabił się, ogłosiwszy poprzednio w dziennikach odczyt, który zakończył samobójstwem. Wstęp na to okrutne widowisko kosztował dollara; summa zebrana przeznaczoną była w części na pogrzeb, w części na zakup trzech dzieł angielskich treści materyalistycznej, które mi chciał po zgonie obdarować bibliotekę miasta. Publiczność, zaciekawiona szalonym ogłoszeniem, które brano za żart, zgromadziła się licznie; nieszczęśliwy mówił przez godzinę, że żyć nie warto, że istnienie ludzkie nie ma celu przed sobą, i kończy się przed jej czy później grobem, poczem wyjął z kieszeni rewolwer i zastrzelił się rzeczywście.

Czyż nie grała w tem największej roli próżność, połączona z pragnieniem wrażeń, choćby na krótką chwilę? Przewidywał wstrząśnienie, jakie sprawi, to, co będą pisać o nim po śmierci i upajał się tem wszystkim, jak napojem pobudzającym. Ale kto by chciał dolieżyć tu odwagę, omyliłby się: śmierć samobójcza jest zawsze tchórzostwem, jest słabością i lenistwem, które nie chce znosić istnienia nieposiadającego już powabu i nie przedstawiającego środków używania. Odwaga i silna wola nie kończy tak nigdy: umie działać i chce działać, nietylko wytrwale, ale szybko, energicznie, i przebijają się też skutecznie przez rozmaite trudności, niedogodności, przeszkody życia, które ma każda chwila ludzkiego istnienia, a w biegu czasu wiek każdy. Każde nowe pokolenie ma swoje właściwe trudności, choroby i pokusy, które je trapią i z którymi łamać się musi. Wytwarza je układ życia, dają im początek obyczaje, pojęcia, i wrażenia z nich powstałe. Ale uczucie obowiązku, podniesione przez tę siłę ducha, która się zwie odwagą moralną, zwalcza je wszystkie zarówno, i niema pod tym względem czasów gorszych i lepszych. Tylko nie dość tu chcieć: trzeba mieć odpowiedni zasób duchowy, a nabywa go się jedynie przez ciągłe i w każdej rzeczy, w każdym zdarzeniu, praktykowanie cnoty. Dopiero wtedy, gdy stanie się nam ona stałym zwyczajem dnia każdego, możemy uważać, że posiadamy charakter wyrobiony i zdolny doprowadzić nas do wytkniętych sobie celów.

Tracimy niezmiernie wiele przez brak „małej odwagi“, jak się Smiles wyraża: odwagi w rzeczach drobnych. Siła to przecież ogromna; stan

świata zależy głównie od tego, co woła na nas codziennie: dokonaj tej rzeczy, spełń ten czyn, i ubogi ksiądz gdzieś w odległej wiejskiej okolicy, w ciastym miejskim zaułku, gdy walczy przeciw zepsuciu, nędzy, niesprawiedliwości, jest niewątpliwie odważniejszym, ma szlachetniejsze pojęcie o obowiązkach człowieka, niż je miał Alexander Macedoński. Znajduje się bardzo wielu ludzi, którzy w rzeczach małych, lecz ważnych, zabierają się codziennie do roboty, jednak nigdy zebrać się na nią rzeczywiście nie mogą; stoją niby na brzegu rzeki i drząc, ociągają się ze stanowczym skokiem w fale. A przecież trzeba było głównie tego tylko—odwagi zanurzenia się w wodę. Codziennie umiera znaczna liczba osób nie znaczących w społeczeństwie, których istnienie byłoby przecież pożyteczne i zasługi pełne, gdyby byli rozpoczęli raz pracę koło dobrego w rzeczach drobnych napozór.

Pessimisci uważają pracę, a raczej konieczność pracy za nieszczęście ludzkości, ale myślą się ogromnie. Francuzki filozof Caro, w dziele swoim: *Le Pessimisme au XIX siècle* dowodzi, że nieprzerparty instynkt popycha człowieka do czynności, a przez czynność do spodziewanych nabytków i szczęścia, a razem do nakazanego mu obowiązku. Ten wrodzony instynkt jest instynktem życia samego, które objawia i tłumaczy, które summuje. W tej samej chwili, gdy rozwija on w nas uczucie bytu, już natychmiast wartość jego nam mierzy. Najczystsze i najwyższe radości życia dostają nam się przez pracę. Arystoteles powiedział w *Etyce* swojej, że pracownik, gdy widzi dzieło pracy swej rosnące, identyfikuje się z nim, czy to jest łan zboża i rolnik, budowniczy i gmach, który wznosi, rzeźbiarz i jego posąg, książka uczona i poemat—nie stanowi to różnicy. „Rozkosz tworzenia płaci z nadkładem trud pracy—dodaje Caro.—Jak świadoma siebie czynność, ścieranie się z przeszkodami, jest pierwszą radością budzącego się życia, tak spełnione dzieło jest najsilniejszą rozkoszą, wywołującą w całej pełni uczucie indywidualności, uświęcającą nas tryumfem nad naturą, choćby tylko częściowym i chwilowym. Takim jest rzeczywisty charakter naszych wysiłków, a raczej naszej woli, w dziełach pracy.

Czynne i życzliwe obcowanie z ludźmi w codziennym życiu przygotowują nas lepiej do zdrowej, energicznej czynności, niż przedłużona samotność i rozmyślanie. Smiles przyznaje w tem słusność Swedenborgowi, utrzymującemu, że „droga do nieba nie wiedzie przez odosobnienie od świata, ale przez czynność wśród świata. Życie oddane uczynkom miłosierdzia, spełniane wśród uczciwych przyjemności i zajęć pracowitych, dokonywanych w posłuszeństwie prawom Bożym, nie jest trudne. Ale trudnym jest życie zapełnione jedynie nabożeństwem i tak właśnie odprowadza ono od nieba, jak niektórzy mniemają, że doń wiedzie“. Religia oparta tylko na słowach, na samem wykonywaniu praktyk religijnych, [nie jest religią. Religia powinna tkwić w życiu naszym, być żywą a nie martwą. Wiele bardzo osób bawi się w religię i spełnia tylko powierzchownie jej dzieła: religia powinna wydać przedewszystkiem owoc życia uczciwego, czystego, powinna wydać ze siebie dobroć, łagodność, tkiłość uczucia w stosunku do bliźnich. Religia, wszczepiona w głąb charakteru ludzkiego, więcej o sobie naucza niż wszystkie księgi doktry religijnych. Jeżeli religia nie łączy się z żywą chęcią dobrego i silną wolą, człowiek niby religijny może tak łatwo jak każdy inny uleść pożądaniom zmysłowych pragnień, lub wegetować w bezwstydnym próżniactwie, w bezwstydnej nieużyteczności.

Próżniactwo jest jednym z największych niebezpieczeństw naszego wieku. Tak zwana „kultura“ nie przeszkadza złemu, a raczej ułatwia je, bo może się łączyć z ogładzoną niemoralnością, z brakiem charakteru, ze służalstwem dla wyższych, a brutalstwem i pychą względem niższych. Cóż gdy wykształcony niby młodzieniec próżnuje, w nic nie wierzy, niczego nie szanuje, niczego nie pragnie? Takie żywoty ciężą na społeczeństwie, które psują w najrozmaitszy sposób przez zły przykład i rozszerzanie złego w postępkach swoich. Wszelkie zajęcia czynne lepsze-by było od takiej śmierci za życia, od niedołężnego, oboję-

tego na wszystko lenistwa. Książka może być środkiem próżnowania, może służyć wykształconej apatii. Jest mnóstwo osobistości, których umysł wypolerował się w czytaniu, doszedł do pewnej bystrości myśli i zdolności wysłowienia, nie nauczywszy się przecieć nie prócz sarkazmu i szyderstwa, przez które próżniak i fanfaron nauki śmieje się z pracy uczciwych ludzi. Myśli mędrców, przejęte do wiadomości przez umysł podobnych pasożytów, nie wydają żadnego plonu. Rozumieją oni wszystko, nie na duchową własność swą nie biorąc, nie mając żadnych rzeczywistych zasad i przekonań; nie rodzi się też nigdy w ich duszach pragnienie wyższego, szlachetniejszego życia. Mamy obecnie bardzo wiele naukowości, wiedzy; ale nie jestto jeszcze mądrość: a przecieć świat ma zostać odkupiony przez *kulturę*. Wyrasza go nowy, pochodzenia niemieckiego. Niemcy go stworzyli i stał się dla wielu religią życia, czcicielem kultury jak „Les précieuses ridicules“ Moliera otaczają się i żyją w atmosferze wyższości i pogardy dla reszty świata. Jestto cynizm i sceptycyzm intelektualny: szydzą z wszystkich cnót starych, z cichej pracowitości i zaparcia się, z samopomocy. Składają wszystko na społeczeństwo, nie wierzą w nic i w nikogo, tylko w siebie, uczynili się sami sobie małutkami bogami.

Goethe był wynalazcą *kultury*. Przecieć poeta Goethego nie nie wsiady tak w ludzkość natchnienia do dzieł szlachetnych, jak naprzykład poezye Schillera; dzieła Goethego są bezpłodne. Człowiek ten handlował miłością kobiet (traded in the loves of women) które pociągał do siebie siłą jakiegoś czar. „Gdy nie miał w sercu kobiety — napisał jego najnowszy biograf, Anglik Hayward — był jak chirurg bez przedmiotu do dyssekcji“. Goethe wyraził się o Balzaku, że każda z jego lepszych powieści, zdaje się być powstała z cierpienia jakiegoś kobiecego serca; Balzak mógł mu zwrócić w całości ten komplement. Goethe, mówiąc o swoim wczesnym zamiłowaniu do nauk przyrodniczych, napisał: „Pamiętam, że dzieckiem rozrywałem kwiaty na części, aby widzieć jak płatki tworzą kielich, oskubywałem ptaki dla zobaczenia, jak pióra są wrosłe w skrzydła“. Bettina powiedziała lordowi Houghton, że zupełnie w ten sam sposób postępował z kobietami. Wszystkie jego wysokie miłości, czy niskie romanse, były podobnego rodzaju wiwisekcjami. Jego siła przyciągania była ogromna, a że dla celów sztuki potrzebna mu było silnych wzruszeń, potęgował więc namiętności bez skrupułu i litości, jak ten malarz, który; chcąc oddać wybornie wyraz boleści Chrystusa na krzyżu, przeszył włócznią bok swego modelu. Zdolność szczegółowej obserwacji w takich razach dowodzi chłodu serca; Goethe przynajmniej się nawet szczerze, że zużytkowywał w ten sposób wszystkie zdarzenia życia swego i uczucie miłości, a na wszystkie swoje stosunki z kobietami zapatrywał się ze strony estetycznej; zauważył przytem, że najskuteczniejszym lekarstwem przeciw rozczarowaniu lub żalowi było: opisywać to wszystko.

Oh! jak pyszną, jak twardą może być duma zdolności umysłowych, a przecieć najwyższe bogactwo ludzkości spoczywa w sercu. Smiles daje dużo przykładów, że najwyższe powagi umysłowe, Newton między niemi, uważały, iż odkrycia naukowe nie zdadzą się na nic, jeżeli branie im ducha, któryby je ożywił, napoił sokami swemi, złączył z prawdą z dobrem, z rzeczywistością życia. Poza książką, poza literaturą i biblioteką, znajduje się to obszerne pole działania, które stanowi życie. Człowiek w społeczeństwie bliźnich swoich musi być czemś więcej niż umysłem; mądrość rzeczywista nie przychodzi też z samej wiedzy książkowej; człowiek nie przez tę wiedzę kształci najlepszą część istoty swojej: z uczucia, ze wzajemnego stosunku serc do siebie powstaje uszanowanie człowieka, tolerancja, poświęcenie siebie dla innych, dla tryumfu wzniosłych idei i spraw dobrych. Zdaniem Millera świat dzisiejszy ulega poprostu hallucynacji, sądząc, że dojdzie do nadzwyczajnego podniesienia poziomu całej ludzkości przez kształcenie umysłowe, przez naukę. Świat przedstawia dziś pracę alchemicznego doświadczenia, chcą-

cego przemienić miedziaki w pieniądź złoty przez moc przetapiania.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE

Rapporta z ostatniej Wystawy powszechnej w Paryżu 1878 r.—Ciekawa przedmowa Juliusza Simona.—Kryzys handlowa i jej znaczenie.—Wpływ mody i jej potęga.—Jeszcze słówko o działalności kobiecej.—Nowy przyczynek do jej historii. Pani Krüdener, jej listy i pisma przez Bibliofila Jakóba.—Obrony i mowy Gambetty.—Listy miłosne pani Sand.—Czemu tu wierzyc wypada? i co sam widziałem na własne oczy.—Nowy sposób przysparzania stołowników w restauracji.

Paryż, d. 10 Stycznia 1881 r.

Ogromny zbiór, *kilkunastotomowy*, Rapportów przysięgłych o Wystawie Powszechnej 1878—wyszedł nakoniec na świat, z ciekawą przedmową Juliusza Simona. Mówiąc o przełomach (crises) handlowych, znakomity publicysta, tak się wyraził:

„Zwiększają zwykle nad miarę ważność tych przełomów. Rzecz to naturalna. Człowiek handlujący, wstrzymany nagle na drodze postępu i wzrostu, a czasem i zagrożony krachem, ma naturalny pochop, a nawet w pewnych okolicznościach ma interes, głośno się uskarżać na zły stan handlu. Oprócz polityki i mody mamy teraz jeszcze zmiany urządzeń celnych, które nam grożą prawie codziennie. Trzeba także wciągnąć w rachubę ciągle udoskonalanie narzędzi, obracające się zawsze ostatecznie na korzyść przemysłowców, ale początkowo, w każdym danym wypadku, nieraz nakładów wielkich wymagające. Było już wiele przełomów straszniejszych niż dzisiejszy; ale nie było bardziej powszechnego, gdyż ten cięży na wszystkich prawie gałęziach przemysłu, a szczególnie na przemyśle wyrobów przeznaczonych na odzież i ubranie; nie było też jeszcze przełomu trwającego tak długo, jak ten. Francuzcy fabrykanci przypisują w części ten rodzaj zastoju ciężkim podatkom wynikłym z wojny. Zapewne, że to powiększenie ciężarów jest nader dotkliwie; ale przełom nie ma charakteru wyłącznie francuzkiego: świat cały się nań sprawiedliwie uskarża.

„Są kłeski, które się kończą naturalnie, same przez się; są inne, którym można zaradzić; są inne jeszcze z którymi trzeba żyć ciągle prawie, ponieważ są one połączone z ostatecznym przeistoczeniem się warunków przemysłu. W tej liczbie pomieścić może wypadka pogorszenia, które nastąpiło wskutek *wszeczwładztwa* mody. Dawniej mody wychodziły z Paryża albo z Londynu i rozpowszechniały się powoli, na prowincyi i za granicą. Dzisiaj inaczej wcale się dzieje: są reporterzy, równie dla mód, jak dla politycznych nowin. Czatuja dziś na każdą nowość i chwytają ją natychmiast, gdy się pojawi. Kobiety w całej Francyi ubierają się tak, jak kobiety paryzkie; a kobiety w New-Yorku i Melbourne, stroją się tak, jak francuzkie. Inna jeszcze rewolucja zaszła w świecie próżności; jest ona niemniej ważną jako następstwo przewrotu ekonomicznego: moda rządzi dziś wszystkiemi klasami ludności. Wielkie wyrobialnie (maisons des confectons) są w części przyczyną tego. Mieszczanki prenumerują dzienniki mód i ślepo idą za niemi. Skutkiem tego można jeszcze sprzedać materye trochę podszarżane; ale co do materyj wyszłych z mody: te są zupełnie stracone. Nie ma co: przemysł powinien się na to zrezygnować: zaraza mody, która niegdyś posuwała się powoli i grasowała cząstkowo, stronami, teraz jest powszechną i piorunującą.

„Paryżanie i Paryżanki, powiada p. Juliusz Simon, są największymi artystami świata, kiedy idzie o ubranie człowieka od stóp do głów. Anglia robi rękawiczki, i robi je doskonale; Belgia i Austria są również na drodze postępu rękawiczniczego: ale ani angielskie, ani belgijskie lub wiedeńskie rękawiczki nie mogą się przyrównać do rękawiczek z Paryża albo Grenobli“...

Czyż to nie nauczający rozdział? i czy nie cie-

kawy istotnie przyczynek do historii cywilizacji naszego wieku?...

Wiele dziś bardzo mówią i piszą: o *działalności kobiety*. Dobrze to jest i chwalebnie, bo kobieta jest niezawodnie jednym z głównych czynników cywilizacji, i w historii postępu, zarówno jak zepsucia, główne zajmuje miejsce. Cywilizacja jest to polor—a jeśli zechcecie mi przebaczyć to porównanie grubo-materyalistyczne — jak pobiała nie imie się rondla, bez tego spójnika, który w technice kotlarskiej we Francyi nosi dziwną nazwę miłości (l'amour) tak i polor cywilizacji nie przyjmie się wśród ludzi bez tego czynnika miłości, który się zowie: kobietą; a skoro tak ważna rola jest jej udziałem, żałujmy, że w historii powszechnej cywilizacji, tak mało, a prawie żadnych niema dokumentów, które-by nam przedstawiły dokładnie: jaki udział kobiety w minionych wiekach przyjęły w postępie ludzkości. Od dwóch nieledwie stuleci ostatnich zbiory takich dokumentów zaczynają się pojawiać częściej w literaturze powszechnej — a w naszej epoce widzimy je dość skrzętnie zbierane, przez siostrzyce krzątające się dość pilnie, na tem polu, zaniechanem niesłusznie dotychczas. Chcę tu mówić o nowym takim zbiorze. Wysłała nowa książka, zajmująca się jedną z najwybitniejszych postaci niewieściech z pierwszych lat, tak męnych jeszcze, naszego, XIX, wieku. Nakładca, Ollendorff, wydał tę książkę pod tytułem: *Pani Krüdener, jej listy i niewydane pisma* (Madame de Krudener, ses lettres et ses ouvrages inédits). Autorem, kompilatorem czy komentatorem, nazwijcie go jak się wam podoba — jest: *Bibliophile Jacob*, pisarz znany tutaj i u nas dobrze i oddawna — romansopisarz i historyk bardzo płodny, dziś jeszcze pracujący czynnie, pomimo 74 lat wieku. Bibliophile Jacob, jest pseudonimem Pawła Lacroix, starszego brata Juliana Lacroix, który w późnym już wieku ożenił się ze znaną u nas dobrze panią Karoliną z Rzewuskich, za pierwszym mężem Sobańską, za drugim Czyrkowiczową, rodzoną siostrą Henryka Rzewuskiego. Ta wzmianka genealogiczna była potrzebna, do dobrego zrozumienia: jak to p. Lacroix przyszedł do wydania tej ciekawej książki o kobiecie, w pewnym rodzaju jasnowidzącej, filozofującej i politykującej Swedenborgianki, utalentowanej pisarki — a w gruncie pełnej rozmarzenia i historycznej kobiety. Jako iluminatka-polityko-filozoficzna p. Krüdener występuje jasno i widocznie w tej książce p. Lacroix'a; jako autorka, wzbogaciła literaturę francuzką, prawie arcydziełem, romansem: *Valérie*, rodzajem autobiografii; jako kobieta rozmarzona i historyczna nakoniec, przejawia się w tych stosunkach, które, związane na pierwszym kongressie wiedeńskim, skończyły się śmiercią w Krymie.

Do liczby niemiłej ciekawych książek potrzeba zaliczyć: „*Obrony i mowy polityczne*“ (Plaidoyers et discours politiques) z przedmową i summaryuszem, *przejrzane* przez Józefa Reinacha. A czyż to obrony i mowy? oto wielkiego przewódce oportunistu we Francyi — p. Gambetty! *Tribunus plebis*, zasiadłszy na krześle marszałkowskiem, nietylko chce kierować rozprawami sejmu, pod jego zawiązanego laską, ale chce jeszcze, rządząc nim, pokazać, że jest mistrzem swojego słowa, i że umie się niem posługiwać w potrzebie. Niema tu nic nowego w tej książce, oprócz samejże książki, o której możnaby powiedzieć słusznie to, co Doża Wenecki, zapytany przez Ludwika XIV: „Coby najdziwniejszego widział w pałacu Wersalskim?“ odpowiedział królowi-słońcu — „Najdziwniejszem mi się wydaje, mnie samego tu widzieć.“ — Jak powiadają świadomsy sprawy, jest to przedmowa do wyborów Akademii Francuzkiej; zdaje się bowiem, że, nie poprzestając na dębowych liściach obywatelskiej korony, Gambetta, pożądlivem oczkiem spogląda na akademicki wieniec laurowy.

Wydawca i rewizor książki jest to ten sam młody redaktor dziennika *Le Voltaire*, p. Reinach, który kilka lat temu odniósł był tak świetne nagrody na egzaminie publicznym w liceum *Louis-le-Grand*, i który w ostatnich czasach ogłosił w tymże *Voltaire* sławny ów list Rocheforta do Gambetty, pisany w więzieniu w Wersalu, o którym wspomniałem w poprzednim już liście. Młodzieniec ten jest więc widocznie „*persona grata*“ z Marszałkowskiego Pałacu, tem, co się w da-

wnych, starych rzymskich czasach, nazywało *klientem*, i wydanie to musiał sporządzić „wskutek najwyższego zezwolenia“, i w pewnym celu. — Otóż, jak powiadam, zaczawszy od głównej obrony w sprawie tak zwanej „*Mogily Bodina*“ za czasów Cesarstwa, aż do wczorajszej przemowy po wybrze na prezesa, wszystko tam jest skrupulatnie zebrane, rozpatrzone, poprawione — tytuł powiada: „przez pana Reinacha“; ale my wiemy przez kogo: *cui prodest*. Lektura to jest więc zajmująca, a symptomat godzien uwagi — jako mianownik na przyszłość.

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI Z MEDYCYN Y POPULARNEJ.

Prof. Łuczkiwicz: „Wykład popularny o chorobie skrofulicznej“

ocenił

Dr Gustaw Fritsche.

Przypadłość, która wiek dziecięcy trapi, sprządza wiele przykrych dolegliwości i nieraz groźne pociągą za sobą następstwa, jest przedmiotem wcale pokąźnego dzieła, którym prof. Łuczkiwicz popularno-naukową literaturę naszą w roku zeszłym wzbogacił. Choroba skrofuliczna zdarza się u nas często, tak często, iż pomiędzy ubogą ludnością dziecko nieskrifuliczne prawie do wyjątków należy. To samo powinno już zwrócić uwagę naszą na tę chorobę i zachęcić do zbadania przyczyn takiego jej rozszerzenia się.

W rozdziale pierwszym autor określa chorobę skrofuliczną i zajmuje się badaniem prawdziwej jej istoty. Opisawszy pokrótce, co jest i na czym się zasadza t. zw. odżywianie ciała, autor, ogólnie się wyrażając, powiada, iż: istota choroby skrofulicznej leży w nieprawidłowym, niedostatecznym odżywianiu ciała. Głównym czynnikiem w procesie odżywiania ciała jest krew. Naczynia chłonne wysysają, tak w kiszkiach, jak i w innych tkankach, materje pożywcze, które się w nich zamieniają na mlecz (chylus), przechodzą przez gruczoły chłonne, licnie w całym ciele rozsiane, i wlewają się ostatecznie do krwi żyłnej. Krew ta żylna przechodzi potem do płuc, gdzie następuje proces utlenienia, przez co krew staje się już zupełnie zdolną do odżywiania ciała. Otóż nienormalny, chorobliwy skład tego mleczka, a następnie i krwi, jest przyczyną wielu chorób, tak chronicznych jak i ostrych, a między innymi i skrofulów. Zmiany te w krwi tak są subtelne i tak niestałe, iż przy pomocy mikroskopu i retorty nie udało się nawet dotychczas dociec: czem właściwie różni się krew chorobliwie zmieniona od krwi normalnej; niemniej jednak fakt sam wątpliwości nie ulega.

Autor odróżnia dwa rodzaje choroby skrofulicznej, z których jedną nazywa nerwową a drugą gnuśną (nazwa niebardzo szczęśliwa). Dziecko skrofuliczne jest zawsze blade, skórę ma przezrocystą, jakby alabastrową, często głowę nieproporcjonalnie dużą, kości cienkie, a czasem w stawach zgrubiałe; żyły, tak na twarzy, jak i na rękach rozszerzone i przez cienką skórę przeświecające. Wargi ust i nos bywają obrzmiałe, powieki często także są spuchnięte a oczy, jakby krwią nabiegłe, na światło bardzo wrażliwe. Gruczoły chłonne podszczękowe obrzmiewają i twardnieją, o czem łatwo przez pomacanie palcem przekonać się można, chociaż nieraz i samym wzrokiem dostrzedz się to daje. Gruczoły takie chętnie ropieją, a wygoiwszy się pozostawiają szpecące blizny, które lekarze przy badaniu chorych tak często spotykają. Skóra rzadko kiedy wolną jest od wyrzutów rozlewających się i bardzo uporczywych pod względem leczenia. Na głowie widzimy także zlewające się strupy. Z uszów często materya cieknie, poczem nieraz pozostaje pe-

wien stopień głuchoty. Nie wszystkie dzieci skrofuliczne przedstawiają całkowicie taki obraz, jaki tu skresliliśmy, ale wszystkie posiadają jeden lub niektóre z opisanych objawów. Dzieci skrofuliczne nadzwyczaj są skłonne do zaziębień, a zapalenie płuc, krup, dyfterytys etc., daleko łatwiej u nich się rozwijają niż u dzieci zdrowych. Jednym z częstych, a przykrych bardzo, objawów choroby skrofulicznej jest próchnienie kości. Cały systemat kostny ulegać może w takich razach próchnieniu, a choroba to ciężka i groźne następstwa sprządająca. Jeżeli próchnieniu ulegają pojedyncze kręgi kolumny pancerzowej, to najczęściej tego następstwem bywają mniej lub więcej wydatne garby, skrzywienie kręgosłupa etc. Nieraz też noga jedna staje się nienormalnie krótszą, albo staw nieruchomym, zrosniętym; jednym słowem, kalectwo częstem jest następstwem choroby. Nieprawidłowości w trawieniu są w chorobie skrofulicznej bardzo pospolite; przytem dzieci chore odznaczają się brakiem apetytu, lub zbytęzną żarłocznością; najczęściej mają one apetyt do pokarmów mącznych jak chleb, kartofle, leguminy etc.

Suchoty płucne rozwijają się bardzo często u osób skrofulicznych; zdarza się to tak często, iż niektórzy lekarze choroby te za identyczne uważają, chociaż zapatrywania się takiego nie podziela ogół lekarzy, i jest ono niezawodnie mylnem.

Przynajmniej choroby skrofulicznej, są, według autora, dwójakiego rodzaju: 1) przyczyny usposabiające do choroby skrofulicznej i 2) wywołujące takową. Do pierwszych należy przedewszystkiem dziedzicność. Rodzice dotknięci jakąś chorobą przewlekłą, wycieńczającą, jak suchoty, epilepsya, rak, choroby nerwowe etc., miewają najczęściej dzieci przynoszące na świat usposobienie do skrofulów, które też przy sprzyjających okolicznościach się rozwijają. Również rodzice oddający się nałogowemu pijaństwu, prowadzący życie rozwiązłe lub bardzo źle odżywiani z powodu ubóstwa, miewają najczęściej potomstwo dotknięte chorobą, o której tu mowa. Niestosowność wieku małżonków autor także jako przyczynę choroby skrofulicznej dzieci wymienia. Łączenie się krewnych związkiem małżeńskim ważnym jest momentem w powstawaniu skrofulów. Przyczyna tego dotychczas nie jest zbadaną, a jednak fakt to niezawodny, iż dzieci pochodzące z takich rodziców, stosunkowo częściej od innych przedstawiają usposobienie do skrofulów. Dodać jednak należy, iż spotykać się daje wiele bardzo dzieci skrofulicznych, których rodzice są lub byli zupełnie zdrowi; w takich razach gdzie indziej szukać należy przyczyn tego cierpienia.

U wielu dzieci skłonnych do skrofulów choroba ta się nie rozwija, jeżeli je rodzice starannością szczególną od urodzenia otaczają; wpływ bowiem zabójczy działa na dziecko od pierwszego roku życia. Powietrze czyste i żywność odpowiednia, są pierwszymi warunkami poczynającego się życia. Dziecko mające usposobienie do skrofulów nabywa ich łatwo, jeżeli się chowa w małym lokalu, w którym, jak to u ludzi biednych zwykle bywa, ani przystępu światła, ani świeżego powietrza niema; w którym wilgoć i stęchlizna czuć się dają. Ale nietylko u biednych ludzi warunki podobne się spotyka. Nierozsądna troskliwość o zdrowie dzieci nakazuje nieraz rodzicom w dobrym byciu będącym utrzymywać dziecię w małym pokoju, zatykać starannie wszystkie otwory, któremi świeże powietrze mogłoby mieć przystęp, zakrywać kolebki stosami poduszek lub t. p. niby dla uchronienia dziecka od przeciągów. Dziecko takie nie ma dostatecznej ilości powietrza: wytwarza się więc naokoło niego sztuczna, bardzo szkodliwa oddziaływająca atmosfera, która pierwszą daje podwalinę do mających się rozwinąć skrofulów.

Brak czystości koło dziecka, niedosyć częste zmienianie bielizny, niestaranne kąpanie, także ważną rolę w powstawaniu skrofulów; a błąd ten popełniają, nietylko matki ubogie, niemające dosyć zamilowania czystości, ale też i te matki, które obawiają się, żeby dziecka nie zaziębić i dla najbłahszej przyczyny zaniedbują n. p. kąpieli. Łada kaszel, katar, zaczerwienie skóry, zapowiadające jakoby wysypką, chorobę

etc., staje się przyczyną, iż dzieci takie tygodniami pozbawione bywają błogich skutków kąpieli, a nawet mycia i zmieniania bielizny. Błąd ten u nas bardzo jest rozpowszechniony a pamiętać trzeba, że wykąpanie dziecka z lekkim katarrem, a nawet z kaszlem, żadnych złych następstw spowodować nie może, byleby się tylko odpowiednio ostrożności przytem zachowywało.

Mówiąc o zgubnym wpływie pożywienia na zdrowie niemowlęcia, autor słusznie twierdzi, iż żadna matka nie powinna się uchylać od obowiązku karmienia swojego dziecka. Jeżeli jednak matka jest chorowitą i dotkniętą cierpieniem płucnym, wadą serca lub inną chorobą wycieńczającą, to dla dziecka wyszukać należy mamkę. Następuje opis trudności, jakie się ma w wynalezieniu mamki, którąby wszystkim wymaganym warunkom odpowiadała. Autor w ciemnych barwach przedstawia sprawę mamek, jak się ona u nas przedstawia, przytaczając wypadki wcale niepokojące, jakie mu się w praktyce zdarzyły. Trudność w odszukaniu dobrej mamki w rzeczy samej jest wielką, wobec naszych kantorów, na które nigdy rachować nie można. Bywały wypadki, że mamki wykarmiały po troje dzieci, zawsze utrzymując, iż świeży mają pokarm. Przytem autor przestrzega, że mamki należy bardzo pilnować, gdyż lubią one usypiać niemowlęta dając im piwo, wino, mak etc. dla tego, żeby noc mieć spokojną, co zawsze źle na zdrowie dziecka wpływa. Wszystko to są fakta i uwagi oddawna znane, ale tak prawdziwe i tak bezustannie się powtarzające, iż nie można ich dosyć często powtarzać i przypominać czytającej publiczności. Najważniejszą w takich razach rzeczą jest przekonanie się: czy matka ma dostateczną ilość pokarmu, gdyż zdarza się często, iż ukrywa się ona z tem i podkarmia cichaczem dziecko rozmaitemi, wcale nie zdrowymi pokarmami.

Tam, gdzie matka dziecka karmić nie może, a mamki dla przyczyn ekonomicznych lub innych trzymać nie można, należy karmić dziecko mlekiem krowim, które różni się wprawdzie od pokarmu kobiecego, ale z pewną modyfikacją da się na ten cel użyć. Karmienie takie wymaga wykintnej czystości i bardzo wielkiej staranności, a wiele bardzo chorób skrofulicznych powstaje skutkiem niedopilnowania tej przestrogi. W pierwszych miesiącach dziecku nic oprócz mleka podawać nie trzeba. O ważności dobrania dobrego, niepodrabianego mleka rozwodzić się w tem miejscu nie będę.

Z powyższych słów widzimy, iż przyczyny, które wywołują skrofule, prawie uniknąć się nie dadzą w klassach ubogich, gdzie o dobrych warunkach higienicznych mowy być nie może, gdzie niedozór nad dziećmi, brud, złe powietrze, niedostateczne pożywienie, wczesne używanie dzieci do roboty fizycznej, jak noszenie młodszych dzieci, węgli, wody, praca w fabryce drutu lub tytoniu etc., stanowią cały odmet czynników, bardzo zgubnie na stan zdrowia dzieci wpływających. To też w klassie ubogiej większość dzieci jest dotknięta skrofulemi; skutkiem tego wszelkie choroby epidemiczne, jak skarlatyna, krup, dyfterytys etc. szerzą się u nich w sposób przerażający. Ubogie dzielnice miasta stanowią gniazda nigdy niewygasających epidemij, z których rozszerzają się one na całe miasto.

Rozdział o przyczynach choroby skrofulicznej kończy się wytknięciem wadliwego i niehigienicznego wychowywania dzieci, tak pod względem fizycznym, jak i moralnym. Przedewszystkiem autor powstaje przeciwko wczesnemu wycucaniu dzieci języków obcych, dowodząc, iż zmniejsza to zakres ich myśli, uszczupla koło wiadomości etc.: temat ulubiony dzisiejszych pedagogów, rozbierany niejednokrotnie w *Bluszczu*. Pojęcie to według mnie niesłuszne i mogące złe skutki dla naszego młodego pokolenia przynieść; wadliwości jego nie trudnoby mi było dowiesić, ale ponieważ przechodzi to poza zakres higieny, więc odłożyć muszę tę sprawę na później.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań, w Styczniu 1881 r.

Oto już trzeci rok z rządu Poznań przelotnie się ożywia, napelnia gwarem i ruchem, życie zdwojonem uderza w nim tętnem, aby zaraz wrócić do zwykłego spokoju i ciszy. Mimowoli przychodzi na pamięć czarodziejska powiastka o zaklętej księżniczce, *la Belle au bois dormant*, nad której otoczeniem całym zawisł sen nieprzespany, i którą budzi dopiero przybysz daleki. Taką obudzającą siłę miały dwa krótkie już odczyty publiczne p. Stanisława Tarnowskiego; w przeszłym zaś roku pani Modrzejewska potęgą sztuki ożywiła zamarły gród Przemysławów. Winien wam jestem sprawozdanie z ostatnich dwóch prelekcji czcigodnego gościa krakowskiego, który na wieść o trudnych początkach naszego szpitalika dziecięcego i o coraz cięższej niedoli ubogiej dżiatwy pośpieszył zpod Wawelu z jałmużną szlachetnego serca i wymownego słowa.

Chociaż przybył w porze dość nieprzyjaznej, kiedy święta rozproszyły całe prawie towarzystwo nasze po gościnnych dworach wiejskich, jednakże urokiem imienia swego ściągnął do Poznania licznych wielbicieli i słuchaczy. Dopóki bawił między nami, kipiło jakoś i wrzało w Poznaniu, a wieczorem sala odczytowa wypełniła się wyborową publicznością. Powodowany uprzejmą intencją, która dogodzić pragnie słuchaczom swoim, p. Tarnowski, jak za przeszłą bytnością mówił o literaturze poznańskiej, tak w tym znów roku obrał za przedmiot swych odczytów dwa dramata Słowackiego, które rozgrywają się na tej części ziemi naszej, w tej kolebce dziejów narodu i gnieździe białego orła. Gdzieś nad Gopłem i pod Kruszwicą poeta umieścił był *Balladyny* dzieje, a i smętny pogrom Wenedów niedaleko ztąd nastąpić musiał. Pan Tarnowski wiele już pisał o Słowackim, studyował go, powiedzieć można, *con amore* i wyraźnie gwałt sobie zadaje, aby krytykować wieszczą, którego piękne i dodatnie strony wywierają na nim urok nadzwyczajny. Okupuje wszelkie poety wady rozkładu i brak jasności cudownością języka, zwłaszcza w „*Lilli Wenedzie*,” która muzyką słowa tak nas czaruje, jak arfa Derwida węże. W obu dramatach znać wpływy arcydzieł klasycznych, Shakespeare'a, mistrzów greckich; ale fala nieujarzmionej fantazyi przekracza granice sztuki z pogwałceniem prostoty, spokoju, miary i ostatecznie prawdziwego piękna. Koniec drugiej prelekcji i domówienie, nasunięte przez rozpaczliwy pogrom ludu tępionego, natchnął p. Tarnowski szczytną, gorącą myślą, która na zasiew nadziei spoczęła w sercach słuchaczy. Każdy opuszczał salę z uczuciem pocieszenia. Jeżeli podczas właściwego wykładu krytyka p. Tarnowskiego nieraz surowością i chłodem swoim razić musiała, to słowa pożegnania były słodkim orzeźwiającym napojem dla serc spragnionych pociechy, wiary, ufności.

Czasopisma nasze dość niezgodnie wyraziły się o tych odczytach; jedne przyznały im tylko treść piękną; inne, mniej na względy gościnności osobiste, aniżeli na rzeczowe prawa krytyki zważając, założyły mniej lub więcej wyraźne *veto*, uzasadniając je nie we wszystkim środkami właściwymi poważnej, umiejętnej i bezstronnej krytyce. Prassa niemiecka żywo się też zajmowała odczytami pana Tarnowskiego, ale snadź wysyłała na nie reporterów szczególnego rodzaju, których i propos *Lilli Wenedy* donosili swym czytelnikom, iż professor krakowski rozbiierał dramat rozgrywający się na lagunach starej Weneji! Oto głęboka mądrość Niemców.

Z wyjazdem pp. Tarnowskich, — szanowny prelektant bowiem zjechał był do nas w towarzystwie swej małżonki, — wszystko natychmiast ucichło; cały napływ gości z prowincyi wycofał się znów z miasta, aby, korzystając z zapóźnionych w tym roku mrozów i śniegów, oddać się wyłącznie lo-

wom. Ponieważ czas polowania już 26 b. m. się kończy, dzień więc za dniem przenosi myśliwską drużynę w coraz to inną miejscowość, a odgłos wystrzałów zewsząd ożywia ciszę dni zimowych. Przez umiejętnę hodowanie zwierzyny, przez wyższą kulturę ziemi i szanowanie praw łowieckich, doszliśmy już dziś do rezultatów, które równają W. Księstwo Poznańskie z Czechami i Szlązkiem. Bywają tu polowania, na których w jednym dniu padnie do siedmiuset zajęcy! Wielka różnorodność zwierzyny dodaje wdzięku zabawie. Obok bowiem zajęcy, nie braknie tu sarn, często i jeleni; są i króliki, i lisy starannie tępione, i borsuki, południowe niedźwiadki, cenione wielce przez miłośników lasów; z ptactwa: kuropatwy, bażanty, cietrzewie, słomki; cała różnorodność ptaków błotnych; na równinach osiadają tłumnie dropie, w niektórych stronach, jak np. w Radziwiłłowskiej ordynacyi na Przygodzicach, dzików bywa wiele. Słowem, nieszczerliwe, pod brzemieniem nieszczerze upadające, księstwo słusnie uważaniem być może za błogosławioną krainę dla licznych pomiędzy nami nemrodów: nie dziw też, iż z różnych stron kraju zjeżdżają w tej epoce amatorowie łowów, aby się nasycić łatwą a niezbyt nużącą i niezbyt nasycającą ducha, zabawą.

Podczas gdy młodzież za szarakami goni, starszyzna w poważnem naukowem kole radzi o zabytkach przeszłości. Ogólne zebranie członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk odbyło się 18 stycznia. Czcigodny prezes, p. Stanisław Koźmian, odczytał sprawozdanie zarządu z czynności w ostatnich miesiącach. Najprzód dowiedzieliśmy się ztąd o znacznych nabytkach ukochanej naszej instytucji, której zamożność powiększyła się, nie tylko darem 78 obrazów ofiarowanych przez hr. Stefana Ciecierskiego ale i zapisem 53 obrazów ze spadku po s. p. Mielcarzewiczu, oraz dwoma dziełami pędzla s. p. malarza Piotrowskiego. Księgozbiór urósł znacznie przez przyłączenie doń pozostałej biblioteki po s. p. ks. prałacie Koźmianie, gdzie się znajdują mają prawdziwe białe kruki bibliograficzne, zwłaszcza pod względem historii polskiej. Z konkursów dwóch dramatycznych wcale nie przyszedł do skutku, bo choć nadesłano sporo utworów, tak były one liche, iż za ledwie dwa wyróżnić się dały przez polecenie ich teatrowi naszemu do wystawienia. Chłodne przyjęcie, jakie znalazły u publiczności, równa się wyrokowi potępienia. Konkurs natomiast historyczny, tak ważne wywołał prace, iż dotąd o pierwszeństwie jednej z nich kommissya postanowić nie mogła. Około Wielkiejnocy pomnikowe wydawnictwa *Kodeksu Wielkopolskiego* i *Księgi beneficjów Łaskiego* zostaną ukończone. Towarzystwo Przyjaciół Nauk zaśluziło się w tym względzie, nie tylko pobudką, ale i dostarczeniem funduszu; wyłożyło bowiem przeszło 4000 marek na odpisy, korektę i kollacyonowanie. *Kodeks Wielkopolski* pozostanie trwałym pomnikiem zasług hr. Jana Działyńskiego, którego hojność pozwoliła przystąpić do tak kosztownego przedsięwzięcia. Tradycja mecenasowstwa nie zaginie w Kórniku. Ogólny spadkobierca Działyńskich, przyjmując dziedzictwo po wuju, oświadczył, że będzie je uważał tylko jako własność krajową, a siebie jedynie za jej szafarza. Szlachetne te słowa godne są syna generała Zamoyskiego, potomka pięknego i zasłużonego w Rzpltej rodu.

Wracając do sprawozdania Towarzystwa, wyczytujemy w nim odgłos ciągły troski o wykonczenie gmachu muzealnego, idące wciąż w odwłokę. Zarząd tedy słusnie przedstawia, aby na czas pewien wstrzymać wszelkie wydatki i nakłady, nawet na Roczniki własne, byle nareszcie uporać się z materialnemi trudnościami, dostawić piętrowo na domu frontowym, rozmieścić zbiory: słowem, ostateczną przyłożyć rękę do ukończenia tak nieodzownie potrzebnej budowy. Wniosek ten niezawodnie zatwierdzonym zostanie przez zgromadzonych członków, których zarząd niebawem zwołać zamierza, tembardziej, że położenie finansowe Towarzystwa pozwala mu o własnym koszcie rozpocząć budowę. I pod względem zewnętrznego piękna i ozdoby Poznań na tem zyska; i teatr dotąd bowiem i muzeum kryją się w podwórzach, jest zaś nadzieja, że przy odnawianiu gmachu frontowego uwzględnione zostaną wy-

magania estetyczne; i skarbiec naszych pamiątek ozdobić przedstawić się będzie od ulicy.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk poniosło wiele strat dotkliwych w tym roku, tak żalobnym dla Poznanskiego. Wypełniają szczyby nowi, młodzi członkowie, garnący się ohotnie ku temu ognisku życia umysłowego. Z członków honorowych przybyło nam trzech przez jednomyślne wybory: hr. Stanisław Tarnowski, dr Szokalski, dr Bobrzyński. Najświeższe posiedzenie wydziału historycznego zajmowało się jeszcze kwestyą: Czy Słowianie dopiero od VI-go wieku po Chr. zamieszkiwali kraj pomiędzy Odrą i Elbą? Na kongresie archeologicznym w Berlinie Niemcy którzy, terażniejszoscia nie syci, przeszłość samą jeszcze anektować usiłują, dowodzili, że do VI wieku mieszkali tam Semnonowie, później dopiero przez Słowian wyparci. Jeden z annexionistów, p. Friedel, na dowód swego twierdzenia wskazywał napatykane między Elbą i Odrą urny faliste, które, zdaniem jego, mają wyłącznie tylko niemieckie pochodzenie. Pan Jajdzewski zbijał te twierdzenia, przytaczając takie powagi jak Pliniusza, Tacyta, Jornandesa, a wspomniawszy nadto, iż podobne urny znajdują się i w takich stronach, gdzie nigdy Niemców nie było. Kwestya ta, żywo podjęta, wywoła, mamy nadzieję, stanowczą odprawę dla p. Friedla, który cały świat, od pierwszego początku, radby rzucić pod stopy germańskie.

Z nowym rokiem namnożyło się tu nowości książkowych, niemałej wagi i znaczenia. Wspomnijmy tom pierwszy *Życia ks. Adama Jerzego Czartoryskiego*, przez Bronisława Zaleskiego, księgę poważną i piękną, a nacechowaną wdziakiem właściwym pióru przedwcześnie z ręki autora wytraconemu. Tomów takich miało być trzy — pierwszy za ledwie wykończonym został; wszelako Zaleski tak skrzętnie przysposobił materiały, iż ułatwił wielce zadanie kontynuatorom tak cennej i ciekawej biografii. Pierwszy tom doprowadza nas, niestety, tylko do r. 1801. Oddawna nie spotkaliśmy równie pięknie i starannie wydanej książki polskiej. Ma ona jedną tylko wadę, cechującą zresztą wszystkie wydawnictwa p. Żupańskiego, a mianowicie, tak wygórowaną cenę, iż trudno jej rokować upowszechnienie, na jakie zasługuje. Drogość książek polskich w ogóle, a poznańskich w szczególności, tamuje ohotę do czytania i kupowania nowości literackich. Doreczna n. p. publikacja felietonów dwuletnich *Kuryera Poznańskiego* p. t.: *I zblizka i zdaleka* tak niestosowną grzeszy ceną, że zapewne mało kto się skusi na zakupno zbioru czytanego poprzednio w tygodniowych odczynkach; przytem ten stracił wiele przez dowolne przykrawanie odcinków, których bodaj siedmdziesiąt się tu odnalazło, zamiast stu, jak to tytuł mylnie opiewa. Ale *majora canamus!* Powitajmy unizonym hołdem *Rys religijnego rozwoju ducha ludzkiego*, księgę imponującą treścią i formą, świeżo bezimiennie także u p. Żupańskiego wydaną. Ograniczymy się dziś na przejrzeniu tytułów pojedynczych rozdziałów, poświęconych z kolei Indjom i Braminizmowi, Buddyzmowi, Chinom, Assyrii, Persyi i Egipci. Tom drugi obejmuje tylko Izraela, Grecyą i Rzym — Romę a chrześcijaństwo, sięgając pokrótce aż do Mahometanizmu i kacerstw nowoczesnych. Niezmordowany wydawca przygotowuje także *Pamiętniki Paska* z ilustracyami Lewickiego, które wątpię, aby zaćmić mogły dawniejsze ołówkowe komentarze do tej niezrównanej opowieści. Godziłoby się tu wspomnieć jeszcze niejedną prenumeratę ogłoszoną w czasopiśmie naszym, niejedną mniejszej lub większej wagi publikacją; ale czas już skończyć i odłożyć do przyszłego listu dalsze odgłosy z naszej literackiej niwy, gdzie może mniej bujna niż gdzieindziej roślinność, ale zato czystsze ziarno, pełniejsze kłosa, mniej kłokolu i chwastu.

Gdyby to przy tak gorliwej uprawie powierzono sobie zagona i w materialnym rzeczy porządku można pomyślniej żniwować! Niestety! zawsze ściga nas pod tym względem nieublagana fatalność, usuwająca ziemię zpod stóp naszych. W ciągu ubiegłego roku znów jedenaście majątków z polskich rąk wyszło, że zaś Polacy kupili od innoplemięńców sześć włości, obejmujących

10,000 morgów, strata więc nasza w ziemi wynosi do 14,000 m., co dotkliwym bardzo jest ubytkiem. Posłowie nasi w Sejmie Berlińskim dzielnie sprawują czaty przednie. W ciągu ubiegłego roku przemawiali czterdzieści siedm razy, nie licząc wzmianek osobistych. Koło Polskie odbyło trzydzieści posiedzeń, a teraz znów sprawy bliżej nas obchodzące powołują reprezentacją naszą do zdwojonej czujności i pracy.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— Otrzymała jeszcze w Grudniu roku zeszłego, a dla braku miejsca dotychczas niedrukowaną, odezwę p. Filipa Sulimierskiego, jednego z trzech redaktorów *Słownika geograficznego*, zamieszczamy w tej samej rubryce, która ją wywołała. Odezwa brzmi: — „Smiem prosić o parę słów wyjaśnienia, do starannego a życzliwego zdania sprawy o *Słowniku geograficznym*, zamieszczonego w Nr 48 *Bluszczu* (1880 r.). Autor tego sprawozdania robi uwagę, że „bez planu“ *Słownik* podaje nazwiska niektórych właścicieli ziemskich przy danych miejscowościach, gdy przy innych nazwisk nie podaje. Otóż pragnę zwrócić ze swojej strony uwagę krytyka, że redakcja *Słownika* nie działa co do tego bez planu, systematycznie bowiem stara się o podawanie nazwisk właścicieli polskich w tych prowincjach, w których walka ekonomiczna „o ziemię“ niekorzystny dla żywiołu polskiego obrót przybiera, lub niebawem przybrać może. Co się tyczy włości położonych w obrębie Królestwa Polskiego lub Galicji, gdzie jeszcze stan nie jest groźnym, to nazwisko właściciela podaje się tylko w razach wyjątkowych, a mianowicie, jeśli mamy pod ręką dokładny spis posiadaczy od wieków, lub jeśli nazwisko to przedstawia jakiś ogólny interes ze względu na swą osobistą lub historyczną zasługę. — Redaktor *Słownika*, Felix Sulimierski“.

— Dziejami pierwotnymi Słowian zachodnio-północnych zajęło się przed kilku laty żywo Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, wyznańczyło konkurs i obecnie ocenia jeszcze nadesłane opracowania. Korrespondenci pism z Poznania donoszą, że nagroda waha się między dwiema monografiami, za najlepsze uznaniami. Rozstrzygnięcia ostatecznego wyczekujemy w nadziei, że konkurs przyniesie nam pracę, która naszą wiedzę historyczną rzeczywiście wzbogaci.

Znany już i pochlebnie przez krytykę przyjęty autor *Biskupstwa Warmińskiego*, Dr Sieniawski, urzędujący w Düsseldorfie, nie stając do konkursu, napisał wszakże dzieło, do zakresu jego należące, ofiarował je Poznańskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk i w końcu roku przeszłego ogłosił drukiem w Gnieźnie: *Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych, między Łabą (Elbą) a granicami dawnej Polski, od czasu wystąpienia ich na widowie dziejową, aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych*, napisał....., Gniezno; nakładem autora, czcionkami J. B. Langiego, str. V, 469 i X spisu, in 8-vo.

Autor podzielił pracę swą na dwie części: jedną historyczno-geograficzną, drugą, jakby powiedzieć można, *demograficzną*, w wyższym, nie statystycznym tylko, wyrazu tego znaczeniu. W pierwszej odszukuje śladu Słowian w dzisiejszej Germanii i zbiera domniemania o przedziejowym pobycie ich w Europie; w drugiej opisuje ich duszę zbiorową, ich charakter, życie, urządzenia polityczne i społeczne. Dzieło Dra Sieniawskiego, występujące bezpretensjonalnie, jako *Pogląd na dzieje*, a nie same *dzieje*, napisane jest jednak według planu wy-

zającego przedmiot; pozwala nam spojrzeć na przodków naszych ze wszystkich stron ich bytowania społecznego, i ze względu na swój ustrój, jest pierwszym tego rodzaju dziełem w naszej literaturze historycznej.

Nietylko przez plan, ale i przez obfitość nagromadzonych wiadomości i wskazówek, dzieło Dra Sieniawskiego szerszemu ogółowi czytelników poważnych, miłujących rzeczy swoje, prawdziwie pożądaną a posilną przynosi owoc. Pod względem obfitości, żadne z dotychczasowych opracowań mierzyć się z *Poglądem* nie może. Autor, mieszkając wśród Niemców, stykając się z ludźmi i nauką niemiecką, otworzył dla siebie mnóstwo drobnych źródełek, o których nawet ludzie uczeni, siedzący w Krakowie lub Lwowie, nie wiedzą. Niemcy, zamilowani w badaniach miejscowych, posiadają wiele wydawnictw bieżących, poświęconych wyłącznie zbieraniu śladów, w najobszerniejszym znaczeniu, historycznych, pozostałych w danej ziemi, powiecie, okręgu dzisiejszej Germanii. Te świadectwa niemieckie przeciwko Niemcom używane, są zawsze do wodami nieomylnymi w wielkim procesie, który się od początku wieku XIX toczy między rozumem i sumieniem polskim, a rozumem i sumieniem niemieckim o to: do kogo należały pierwotnie ziemie na zachód, nietylko od Odry, ale od Wezery, w niektórych nawet punktach aż po Ren, a od południa do Menu?

Dowody wpływające z nazw miejscowości, z wyrażen w śpiewach i obrzędach, ze strojów i obyczajów, z urządzeń społecznych, jakie nam zachowali pisarze dawniejsi, nieprzekupieni jeszcze przez ideę pangermańską, dotychczas wprowadzie jeszcze nie wystarczają na postawienie twierdzenia, że Słowianie byli już przed Niemcami, nawet w Westfali, Fryzji a na południe około Menu, ale uprawniają domniemania w sposób tak poważny, że wobec nich krytyka raczej do napaści niż do obrony może się czuć powołaną. Dr Sieniawski w miłości wszystkiego, co w dziejach Europy słowiańskim być może, w niejednym miejscu za daleko się posuwa; pewnością dla niego jest nieraz to, co dla bezstronnej patrzącego rozumu, poszlaką tylko będzie. Tak np., zrywając solidarność z hipotezą genialnego Obermüllera co do Celtów i ich powszechnego rozpostarcia się po Europie zachodniej, czyni to jednak z widocznym żalem i w sposób niedość, jak na badacza naukowego stanowczy. W pierwszej części dzieła i w rozdziale dopełniającym (str. 437) w zbyt silnych zarysach występuje, nie nowy już, domysł o jedności Słowian i Celtów. Wogóle ten ustęp pracy, który zajmuje się stosunkami dziejów powszechnych, potrzebowałby nowego, głębszego opracowania.

Pomijając hipotezę jedności Swewów i Słowian, najpoczątkowej podtrzymywaną u nas przez Maciejowskiego, Dr Sieniawski kładzie jednak silny nacisk na rozróżnienie Germanów dawniejszych od nowszych, uznane dziś już nawet przez stronną, świat cały Germanami wypełnić radą, naukę niemiecką. To rozróżnienie w naszym procesie narodowym i naukowym z Niemcami, stanowi punkt bardzo ważny. „Germanowie“ są nazwą geograficzną, podobnie jak „Keltowie“, jak „Wenedzi“, jak wreszcie w wielu razach „Słowianie“. „Germanowie“ dawniejsi mogli być tylko w pewnej części Niemcami: obok nich znajduje się więc na ziemiach Germanii miejsce i dla innych narodów; a zadaniem historii jest właśnie zbieranie i porządkowanie śladów, jakie po tych „innych“ narodach pozostać mogły.

Choćbyśmy jaknajwięcej odrzucili z summy prawd i domysłów, pozostanie jeszcze tyle na rejestrze wykazującym prawa i krzywdy nasze, ile potrzeba dla udowodnienia historycznej roli Niemców, jako najeźdźców, grabieżców i ciemężycieli. Dzieje tych najazdów, grabieży i ciemężstwa opowiada Dr Sieniawski w pierwszej części swego

dzieła. Ten dział *Poglądu*, obejmujący sto pięćdziesiąt stronic, odznacza się starannem opracowaniem. Nietylko z pisarzy znanych powszechnie, niejako klasycznych, do których zaliczyć potrzeba Ditmara, Helmolda, Adama Bremskiego, Żywotopisarzów Ottona, Saxo-Grammatyka, ale i z innych pomniejszych, nieraz mało znanych, wybierał tu autor liczne bardzo wiadomości i ułożył je w jasne, choć żadnymi zaletami stylu nieodznaczające się, opowiadanie. Czy chciał tego autor, czy nie: fakta same za siebie mówią. Widzimy, jak krzyż Chrystusowy wrękach germańskich włącza do mogiły Słowiańszczyznę Europy zachodniej i środkowej, od pierwszych walk, w VII jeszcze wieku początych. Padają najpierw Sorabi, Welatabowie; potem Lutycy Obotrzy i Rugianie. Najdłużej trzymają się politycznie Pomorzanie; narodowo Łużycanie do dni dzisiejszych dotrwali. Słowiańskimi niegdyś były ziemie Hanoweru, słowiańską była Meklenburgia, mnóstwo nazw słowiańskich jeszcze posiadająca, — widowia bohaterskich walk Nikłota w XII wieku.

Część druga ukazuje nam duszę tych powolnie zabijanych narodów, a raczej narodowych związków. Autor starał się tu wszechstronnie rzecz przedstawić; mówi najpierw o *indoles latens*, o usposobieniu i uzdolnieniu Słowian, o oświeceniu ich, przemyśle i handlu, o urządzeniach wiejskich i miejskich, o formach bytu państwowego i układzie warstw społecznych, wreszcie o wojskowości i obronności nazewnątrz. Czytając te charakterystyki, odnajdujemy nieraz jedność w najodległej od siebie żyjących związkach narodowych, jak np. w obrzędzie koronacyjnym książąt karyńskich, który według kronikarzy istniał jeszcze w XIII wieku, a był czysto-słowiańskim (str. 368—71). W drugiej części swego dzieła Dr Sieniawski wykazuje, że Słowianie mieli cywilizację i oświatę, jak na owe czasy, wysoko rozwiniętą, i nietylko nie stali niżej od Niemców, ale ich nawet nieraz przewyższali; powołany na świadectwo Berghaus prawdziwie druzgocze pseudo-uczonych a nienawistną ku nam dyszącą Niemców (str. 328 i 442). Przekonanie nasi znali pismo runiczne, mieszkali w miastach ludnych (Arkona), prowadzili handel, posiadali własny przemysł: byli istotą historyczną, do życia powołaną i do życia zdolną — zdolną, lecz tylko siłę większej uległa. Osobny rozdział mówi: dlaczego Polska nie mogła pobratymców swoich, z którymi najbliższe łączyło ją i łączy pokrewieństwo, obronić. Ostatni rozdział dzieła zawiera dopełnienia do obu części. Szkoda, że go nienapisano porządniej i ściślej. Całego dzieła również nie uważamy za surowo-naukowe, ale też i nie sądzimy, aby surowość naukowa wiele zeń wytrącić mogła. W każdym razie, z pracy Dra Sieniawskiego niemało nauczyć się można, i czytelnik, który tę książkę chętnie do ręki weźmie, odczyta ją też z prawdziwym pożytkiem i przyjemnością.

— m — *Beatrycjana. Uwagi i rady dla młodych dziewcząt*, przez Maryana M. 73 stronicze obejmująca książeczka, w której czytelniczki jakkolwiek nie znajdą nic nowego, nic szczególnie pouczającego, nie spotkają się też z niczem złym. Jestto marzenie młodociane o kobiecie, której prototyp duchowy widzi autor w rajskiej pani Dantego. Niewcielone, na zwykły takim rzeczom sposób, w sonet, zabląkało się na grunt praktycznej użyteczności i przydziało formę pedagogiczną.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się arkusz 5-ty powieści pod tyt.: *Wódz-Duch*.

TREŚĆ. Marya Anna Cross (Jerzy Elliot), przez M. I. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Obowiązek, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Nowiny paryżkie. — Wiadomości z medycyny popularnej, przez Dra Gustawa Fritsche. — Korrespondencya zagraniczna, (Poznania). — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg)

— Morderca generała Hoche! — zawołał Tankred de Gaillefontaine z namiętym umiesieniem — Och, co do niego, uważam go za osobistego nieprzyjaciela i mam nadzieję, że moja szpada uwolni od niego uczciwych ludzi wszystkich krajów i wszystkich stronnictw.

Lucy patrzyła na niego, gdy mówił. Zapal czynił go tak pięknym, że oko młodej panny nie mogło oderwać się od niego przez chwilę długą. Ale była mocno zajęta bratem i zwracając się do naradzających zawołała: — Pojmujecie, że wszystko stracone! Wahać się jeszcze byłoby prostem szaleństwem! Należy kazać natychmiast siodłać konie.

Brat uspokoił ją łagodnym skinieniem ręki.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekł. — Czy syn vice-króla upoważnia nas do przestrzeżenia współtowarzyszy?

Ona stała się w tej chwili silnie zmieszana. — Sir Artur już jest ostrzeżony — rzekł. — Co do innych nie zobowiązałam się do niczego. Uprawdźcie ich razem ze sobą, lecz koniecznie tej nocy jeszcze. Ja już załatwię rzecz jutro z sir Reginaldem. Powiem mu, że powiedziałam wam wszystko...

O' Connor i Fitz - Gerald spoglądali na siebie w milczeniu.

— Naczelnicy mogą zostać ocaleni — mówił starzec ze smutkiem — lecz szeregowcy: lud! wszyscy ci biedacy, którzy przyłączyli się do nas, jako do swych naturalnych opiekunów, do obrońców praw i bezpieczeństwa swego. Na nich zacięży ręka Anglii. Czy więc uczciwość pozwala nam opuścić ich w ten sposób?

Zamiast odpowiedzi, lord Edward zwrócił się z żywością ku Jakóbowi: — Jacku, co mi radzisz? zapytał. Co ty sam zamierzasz uczynić?

— Ja zostanę! — odparł Dziki Ir z dumą. — Ty jednak nie powinienes brać ze mnie przykładu. Ukrywać się, być ściganym... do tego trzeba mieć nawyknięcia odpowiednie. Ja mam bezpieczne schronienia, znane jedynie przezemnie i których nikt nie zdradzi. Zresztą, cóż mam do stracenia? Kto mnie będzie żałował? Kto mnie kocha?

Wszyscy zaprzeczyli z żywością, prócz jednej tylko Kornelii. Nie poruszyła się, nie wyrzekła ani jednego słowa. Tankred jednak schwycił w przelocie błyskawiczne spojrzenie, pełne tkliwego wyrzutu, które przesłała mówiacemu.

Przecież oczy wicehrabiego były prawie przykute do miss Łucyi. To połączenie śmiałości i dziewiczego wdzięku, uroda, stanowczy charakter, słowem wszystko w niej czarowało go i ujmowało. Pragnął skutecznie przyjść jej w pomoc, odezwał się więc z kolei:

— Ponieważ przyjęliście mnie panowie do rady, pozwólcie więc wypowiedzieć moje zdanie. Sądzę, że nierozsądkiem jest jedynie ofiara bezużyteczna. Pozostając tu, nie zdołacie nic uczynić, prócz tego że będziecie cierpieć mężnie. Połączcie się z generałem Humbertem, przyspieszcie jego wylądowanie i powróciecie wraz z nim — oto wasz obowiązek. Jakób pozostanie w kraju i czu-

wać będzie nad waszemi stronnikami, waszemi przyjaciółmi.

— Przyjmuję na siebie obowiązek powstrzymania niecierpliwych i ukrywania ściganych w bezpiecznych kryjówkach — ozwał się Dziki Ir. Będziemy czekać... będzie to wykonaniem ostatniej woli generała Hoche.

Wszystko zdawało się skończone, jednak Fitz - Gerald wahał się jeszcze

Gdy nagle Pamela rzuciła się mężowi do nóg, a siostra przyprowadziła mu dzieci.

— Edwardzie! — zawołała wstrzymując łzy — czy chcesz aby to były sieroty?

Na ten widok, na te słowa znikły ostatnie skrupuły lorda Edwarda. Z namiętym okrzykiem, który wydawał się powstrzymanym łkaniem, pochwycił w objęcia ukochane istoty.

W tej chwili Łucya sięgnęła do dzwonka, na którego odgłos przybiegł natychmiast murzyn.

— Tony — rozkazała — każ siodłać konie; tylko prędko!

— Ile? — zapytał.

— Trzy — odpowiedział Jakób. — Będę towarzyszyć lordowi Edwardowi i Sir Arturowi... I nie opuszczę ich, aż gdy będą już na statku — dodał.

— I ja to samo — odezwał się Tankred. — Czwartego konia, Tony.

Wierny murzyn zwrócił się ku swemu panu.

— A ja, panie, ja, który cię nigdy nie opuściłem?

Edward wyrazistym wzrokiem wskazał mu żonę i dzieci. Murzyn spuścił smutno głowę: — zrozumiał.

— Słusznie — rzekł. — Tony będzie czuwał nad rodziną swego pana.

Powiedziawszy to zniknął, aby wykonać dane sobie rozkazy.

Tymczasem Łucya zbliżyła się do brata: — Zostanę u was z Kornelią aż do jutra rano — rzekła smutnie. Łzy płynęły jej teraz po twarzy i było to znowu tylko dobre i piękne dziewczę lat siedemnastu.

Przygotowania do drogi zostały szybko załatwione i nadeszła smutna chwila odjazdu. Było już ciemno i Tony wyprowadził z pochodnią wychodzących z domu. Przed gankiem czekało już czterech wybornych wierzchowców, które z niecierpliwością ryły ziemię kopytami. Było im pilno w drogę — było w nią pilno niestety, a jednak Fitz - Gerald wsiadał na konia powoli.

Pragnął by był jeszcze raz uściśnąć żonę i dzieci.

— Kto wie — szepnął oddalając się — czy ich jeszcze kiedy zobaczę?

XI.

Przecucie.

Wyjechali o szóstej lecz trzeba im było czterech godzin bardzo szybkiej jazdy bez odpoczynku aby przebyć przestrzeń, oddzielającą ich od stolicy Irlandyi.

Pokryte pianą rumaki już zaczęły ustawać, gdy wreszcie zatrzymano się przed kratą willi, położonej na wstępie do Wschodniego Przedmieścia, a należącej do sir Artura O' Connor, który ledwo miał siłę zsiąść z konia. Był on już stary i życie całe miał pełne niepokoju, a przytem tylko co przeleżał dni kilka chory.

— Pozwólcie mi wypożyczyć przez kilka chwil — odezwał się też teraz przytłumionym głosem. — Wszak dopiero za godzinę mamy stawić się na zgromadzeniu? Bądźcie jednak spokojni, gdyby

mi zabrakło sił, każe się zanieść moim ludziom, lecz nie zawiodę was i będę obecny na tem ostatnim już może zgromadzeniu naszym.

Miało się ono odbyć u Tomasza Raynolda. Smutne żądanie O' Connora zostało przyjęte w milczeniu; Fitz - Gerald więc, Tankred i Jakób pożegnali go i pieszo udali się do miasta.

Oprócz kilku oberży, dotąd oświeconych, cały Dublin zdawał się zresztą pogrążony w ciemności i milczeniu. Blade światelka latarni, znajdujących się w dość znacznym oddaleniu jedna od drugiej, zaledwie trochę oświecały milczące i czarne ulice — była to noc bez gwiazd i księżyca.

Gdy minęli główny rynek, lord Edward zatrzymał się. — I ja muszę się z wami rozstać na chwilę — rzekł. Zajmijcie się przygotowaniem do wyjazdu, a ja tymczasem pragnął bym pożegnać matkę. — Zresztą potrzebuję pieniędzy, dużo pieniędzy, które Jakób wzięść musi dla naszych biednych współtowarzyszy. Opuszczamy ich, niechże przynajmniej nie pozostaną w nędzy.

— Bądź ostrożny! — zalecił mu Jakób, a nade wszystko nie zatrzymaj się zbyt długo u księżny.

Ojciec Fitz - Geralda otrzymał tytuł księcia Leinster, zatem tytuł ten przysługiwał pozostałej po nim wdowie.

— Na oznaczoną godzinę stawię się niezawodnie — odparł Edward.

I okrywszy się płaszczem zniknął w ulicy, prowadzącej ku północnej części miasta.

Gaillefontaine i jego przewodnik udali się w dalszą drogę ku portowi.

— Teraz na nas kolej — odezwał się Jakób. — Każdy z nas ma swoje zadanie do spełnienia. Ty, wicehrabio, musisz wejść w ugodę z kapitanem okrętu, aby przyjął nas wszystkich na swój pokład jeszcze dzisiejszej nocy. Nie jesteś ścigany i tobie łatwiej to uczynić. Ja tym czasem uprzedzę tych, którzy jeszcze nie wiedzą o niczem. Miejsce zejścia się za godzinę u Tomasza Raynolda. Do niego to musimy udać się najprzód, aby się dowiedzieć, który z jego okrętów jest gotów do odplynięcia tej nocy.

— Czyż ten Raynold ma całą flotę na swe rozkazy?

— Jest najbogatszym ze wszystkich posiadaczy okrętów w całym Dublinie. Skoro, jak się spodziewam, da panu piśmienny rozkaz do jednego z kapitanów okrętowych, za wskazówką tej oto wieży zajdziesz pan do portu. Oberżę „Pod Herbem Irlandyi“ poznasz pan łatwo po dwóch czerwonych latarniach. Zapytaj, wicehrabio, o gospodarza i wymień moje nazwisko. Da on panu przewodnika, a w razie gdyby okręt miał już wypłynąć z przystani, łódź, która cię zawiezie do niego. Po powrocie znajdziesz mnie pan w oberży, z kąd udamy się razem na miejsce ogólnego spotkania w tym oto domu. Należy on właśnie do Raynolda.

W domu, wskazanym przez Jakóba, błyszczało światło tylko w dwóch oknach pierwszego piętra.

— Jest u siebie — rzekł Jakób - świeci się w jego gabinecie.

Tankred zatrzymał się przed główną bramą, lecz Jakób, dając mu znak, aby poszedł za nim, skierował się w wąską uliczkę, na którą dom wychodził bokiem.

— Dla nas jest inne wejście — szepnął — otwiera się ono tylko dla osoby, znającej tajemnicę.

I Jakób zatrzymał się przed małemi drzwiczkami, wyciągnął rękę w ciemności, nacisnął niewidzialną sprężynę i prawie natychmiast drzwi otworzyły się bez najmniejszego szelestu.

Podczas gdy wstępowali na ciemne schody, opowiemy czytelnikowi, co to był za człowiek ten, do którego zmierzali.

Najbogatszy właściciel okrętów, najpierwszy przemysłowiec w całej Irlandyi — powiedział o nim

Jakób. Było to istotnie prawdą. Tomasz Raynold miał przeważny wpływ na giełdzie i w przystani okrętowej Dublinu, przytem prowadził rozległy handel, bez pośrednictwa Anglii znosząc się z producentami Persyi, Indyi i Chin.

W ubiegłym roku zaledwie, że nie został lordem - mayorem stolicy, lecz podejrzliwy rząd Wielkiej Brytanii zdołał przeszkodzić temu wyborowi.

Uraza, złączona niezawodnie z nienawiścią, jaką każdy Irlandczyk czuje zawsze do Anglików, popchnęła go na drogę czynu. Wszedł do związku *Połączonych Irlandczyków*, a nieposzlakowana reputacya uczciwego człowieka sprawiła, że zaszczycono go wkrótce najzupełniejszym zaufaniem. Wspólnie z O'Connorem, Fitz-Geraldem, z dwoma braćmi Sheares: Henrykiem i Janem, z Addisem Emmet i doktorem Slowiusem Jumble tworzył on dyrektoryat, czyli rząd powstańczy.

Nasi dwaj znajomi zastali go w obszernym pokoju, służącym za gabinet do pracy i sypialnię zarazem. Drzwi któremi weszli, ukryte były w głębi alkowy, ciągnącej się przez całą szerokość pokoju. Na przeciwko, pomiędzy dwoma oknami, wychodzącymi na Kildare - street, stało stare biurko, całe założone rozlicznymi księgami, rejestrami i papierami. Na prawo znajdował się komin, na lewo drzwi główne, wychodzące do sieni.

Zapewnie Tomasz Raynold musiał oczekiwać na przybycie innej osoby, gdyż zdawało się, że widok Jakóba sprawił mu przykrą niespodziankę. Po pierwszych słowach wyjaśnienia, gospodarz wpadł w osłupienie, a następnie w najwyższą rozpacz.

Słabość ta i wielki brak godności w jej wyrazie wywarły niemiłe wrażenie na wicehrabiego, który znalazł się na ludziach i już nie dziwił się, widząc ich często niższymi od roli, jaką odgrywali. Zaraz więc w pierwszej chwili poznania Raynolda, osądził go trafnie.

Był to człowiek otyły i żółciowy, pyszny ze swego stanowiska i władzy, bohater powodzenia na piedestale worków złota. Przecież obecnie straszliwy, wstrętny dla patrzących, strach owładnął całą jego osobistością. Trudno wyobrazić sobie coś więcej nędznego, nad upadek ambitnej pospolitości, podtrzymywanej jedynie pychą.

Raynold biegł tam i napowrót po pokoju, roznosząc skargi i wyrzekania, a zawsze tylko odnoszące się do jego osoby. Twarz blada, oczy przerażone, wyrażały tylko brak decyzji, obawę i niepokój egoizmu.

— Uciekać! — powtarzał prawie z obłąkaniem — uciekać w podobny sposób, nawet nie mając czasu uregulowania interesów, zawiadomienia współników i podwładnych agentów! Ależ to upadek, to najzupełniejsza ruina!

I oczy jego nieustannie kierowały się ku wielkiej księdze, oprawnej w mosiądz, która otwartą, leżała na środku biurka.

— Będziesz pan miał czas na skargi i żale podczas podróży — przerwał mu Jakób, nieukrywając pogardy. — Teraz idzie o rozkaz, na który czeka pan wicehrabia. Co do mnie, biegnę do pańskich współtowarzyszy, którzy tu zgromadzą się za godzinę... Spiesz się pan!...

Ostatnie słowa zwrócił Jakób do Tankreda, następnie nacisnął sprężynę, ukrytą w ścianie alkowy, która jak wiemy otwierała drzwi tajemne i szybko oddalił się z pokoju.

Tomasz Raynold rzucił się na skórzany fotel, na którym pozostał nieruchomy, w postawie pełnej rozpacz.

— Wszak słyszałeś pan, że czekam — odezwał się Gaillfontaine, podając mu pióro, już umaczone w atramencie.

— Tak, tak, słyszałem — wyjąkał Raynold — lecz który okręt? Tak, tak, *L'Esperance*, kapitana Murphy. Miał odplynie dopiero jutro, lecz odpływ morza pozwoli mi zabrać nas jeszcze dziś wieczorem. Znajdziesz go pan na pokładzie — oto rozkaz.

Raynold ukończywszy, podpisał.

W chwili gdy Tankred brał w rękę papier, rozległy się silne, kilkakrotnie powtórzone uderzenia w bramę od ulicy.

Gość i gospodarz spojrzeli na siebie z niepokojem. Kto mógł przychodzić o tej porze i pukać tak gwałtownie, niby gniewny pan, powracający w złym humorze do domu?

— Oddał się pan — odezwał się Raynold. — Ja sam odprawię natręta, oczekiwałem dzisiejszej nocy braci Sheares i umyślnie wydałem rozkaz moim ludziom, aby nie schodzili, choćby najbardziej pukano. Te drzwi prowadzą do bocznego wyjścia. Idź pan!

Nacisnął sprężynę. Był to guzik mosiężny, umieszczony bardzo zręcznie w pośród stołowego okucia.

Już Tankred oddalił się temi drzwiami, przeznaczonymi dla spiskowych i wiodącymi w boczną uliczkę, gdy nagle przystanął.

Któż umiał kiedy wyjaśnić przeczcucia? Te nocne odwiedziny, to gwałtowne dobijanie się, rozlegające się nagle wśród ciszy panującej na ulicy, dziwnie zaniepokoiły wicehrabiego. Przeszedłszy korytarz i już postawiwszy nogę na pierwszym stopniu schodów, Tankred nagle zatrzymał się, słuchając z nateżeniem. Na dole dobijano się do bramy z coraz większą natężonością. W gabinecie gospodarza domu otworzyło się okno.

Gaillfontaine powrócił na palcach pod drzwi gabinetu, których wychodząc nie zamknął zupełnie i przez otwór w nich słuchał i patrzył.

— Kto tam? — pytał Raynold wychylając się przez okno.

— Ja! odpowiedziano z ulicy.

— Co za ja?

— Czy Tomasz Raynold nie poznaje już swych przyjaciół?...

Głos ten, z odcieniem szydery, był ostrym i złowieszczym, jak zgrzyt miecza. Wzbudził on w umyśle Tankreda jakieś niewyraźne wspomnienie.

Widocznie gospodarz musiał poznać gościa, gdyż wyjąkał nie bez drżenia przestachu:

— Jak-to, to ty półkowniku? Zaczekaj, zaraz zejde.

Pochwylił lampę. Pod wpływem silnego wzruszenia i lampa, tak samo jak głos drżała.

— Półkownik! — pomyślał Tankred. — Co może od niego chcieć półkownik i to właśnie dzisiejszej nocy?

Zaledwie Tomasz Raynold wyszedł, pozostawiając pokój w ciemności, wicehrabia wsunął się tam na powrót. Skłoniło go do tego jakieś niejasne, złowrogie przeczcucie.

Drugie drzwi, niezamknięte przez Raynolda wychodziły na główne wschody. Gaillfontaine zatrzymując oddech, przeszedł przez gabinet na palcach i stanawszy na pierwszym stopniu schodów, wychylił się przez poręcz i spojrzął na dół. Koniecznie chciał widzieć i słyszeć.

Lampa stała w sieni na stole. Gość już wszedł do sieni i rozmawiał z gospodarzem, lecz w miejscu, do którego nie dochodziło światło. Ostatni zdawał się opierać, pierwszy zaś, którego głos odzywał się już teraz na wschodach, zakończył spór, mówiąc:

— Nie, nie, przyjacielu Tomaszu. Przyszędłem w ważnym i pilnym interesie, nie myślę więc rozmawiać w sieni. Nie godzi się w ten sposób przyjmować półkownika Armstrong!

Nazwisko to podziałało na Tankreda jak uderzenie piorunu. Żywo odskoczył w tył, bez szmeru powrócił do gabinetu i ukrył się w alkuwie, wsunawszy się za łóżko.

Lecz czy nie wprowadziły go w błąd uszy? Czy w istocie wymówionem zostało to złowrogie nazwisko? Wkrótce znajdzie sposobność sprawdzenia wątpliwości.

Raynold powrócił i postawiwszy lampę na biurku, rzucił się na stojący w pobliżu fotel.

Za nim wszedł mężczyzna wysokiego wzrostu w kapeluszu i w ciemnym, obszernym płaszczu.

Zdjął i płaszcz i kapelus, i teraz Tankred już nie wątpił.

W istocie był to Armstrong.

XII.

Zdrajca.

Tak, był to ów dziki purytanin, którego czaszka, oraz surowe rysy twarzy przypominały Kromwella.

— Wszak jesteście sami? — zapytał Raynolda.

I pomimo potwierdzającej odpowiedzi gospodarza, przez zbytnią ostrożność poszedł zamknąć drzwi na klucz. Zajrzał nawet za franki alkowy, lecz na szczęście wicehrabia ukryty był gdzie indziej.

Uspokojony wreszcie, Armstrong usiadł obok biurka.

— Piętych rzeczy dowiaduję się o panu po moim powrocie!.. — rzekł do gospodarza. — Pan, człowiek tak porządny i finansista, przyjmujesz udział w buncie! Nie zapieraj się, gdyż wszystko zostało wykryte... zawiadamiam pana o tem. Gdyby nie ja, był byś nieodwołalnie zgubiony!

— Ach — jęknął Raynold osłupiały.

— Zgubiony, nie tylko jako wierny poddany króla — mówił dalej półkownik, lecz nadto jako przemysłowiec. Dowiedziałem się o tem jeszcze w podróży, a mianowicie w Bristolu... Zaraz, czy to było w Bristolu? Nie, na honor, powiedziano mi o tem w Londynie, na giełdzie! Tak jest, w Londynie zawiadomiono mnie, że jesteś pan zrujnowany.

Raynold zerwał się jednym skokiem, a jego wielkie, wystraszone oczy wpatrywały się z odrętwieniem w wielką księgę, której kanty, okute mosiądzem, połyskiwały w świetle lampy jak złoto.

— Zrujnowany! — wyjąkał. — I pan wierzysz temu?

— Eh, kochany Raynoldzie, mam w twym zakładzie znaczny kapitał...

— Możesz go pan odebrać w każdej chwili!

— Czyż ja żądam tego? Powtarzam tylko, co mi powiedziano.

— To jest kłamstwo!

— Tem lepiej, tem lepiej. Wiesz, jak cię kocham, Tomaszu Raynold. To też postanowiłem — w razie jeżeli mnie dobrze poinformowano — uczynić dla ciebie pewną ofiarę.

Mówiąc to, wydobył z kieszeni duży i pękaty pugilares.

Na ten widok Raynold zadrżał. W tej chwili instykt kupiecki przemógł wszystko i kazał mu zapomnieć o wszystkim innym.

— Półkowniku — odezwał się — na cóż mam tać przed tobą? W istocie, znajduję się chwilowo w jakimś kłopotcie pieniężnym... Niepokoję na stałym lądzie... wzburzenie w naszym kraju... Otóż jedynie w nadziei łatwiejszego zlikwidowania... uczyniłem nieostrożny krok...

— Nie mówmy teraz o polityce — przerwał mu Armstrong — Złatwimy obie sprawy razem. A więc przyznajesz pan, że jesteś w kłopotcie?

— Jest on tylko chwilowym, zapewniam pana. W tych dniach właśnie oczekuję na przybycie okrętu Hunter...

— Czyż byś pan miał jakiś większy ładunek na tym statku? — zawołał półkownik z przerażeniem, zbyt dobrze odegranem, aby miało być szczerem.

— Ależ — odparł Raynold — mam na nim jedwabie i kaszmiry wartości przeszło dwudziestu tysięcy funtów szterlingów.

— O nieszczęsnym!

Na ten wybuch współczucia, który zdawał się zwiastować straszliwy cioc, Raynold wyprostował się z przerażeniem.

— A więc? Cóż to znaczy coś pan powiedział? Co?

Armstrong po chwili udanego wahania się, odpowiedział:

— Właśnie dziś czytałem w dzienniku... Ale czekaj pan, zdaje mi się, że go mam przy sobie... Tak jest: mam, oto właśnie miejsce, w którym znajduje się wzmianka o Hunterze. Czytaj pan!

Rozłożył dziennik przed oczyma kupca i wskazując palcem na artykuł, przeczytał sam na głos:

„Określ angielski, powracający ze Smyrny zatonał w nocy 3 Września pod Messyną. Utrzymał, że okręt ten nazywał się Hunter...”

Nieszczęśliwy zachwiał się i upadł jak gdyby rażony piorunem. Bez pomocy półkownika, który go pochwylił, byłby rozbił sobie czoło o kant biurka.

Następnie Armstrong podniósł się. W oczach jego błyszczących szatańską radością, czytać było można następującą myśl: — Teraz już go mam!

Tankred aż dotąd zapytywał sam siebie, jaką komedię odgrywa truciciel generała Hoche. W tej chwili, zrozumiał wszystko.

— Zrujnowany, zrujnowany do szczeru! — mruzczał Tomasz Raynold. — Jestem bankrutem!

— Tem lepiej! — odezwał się nielitościwie Armstrong. — To, na co może nieprzystał byś dla wykupienia się od śmierci, to uczynisz teraz, aby ocalić majątek.

— Co mówisz, półkowniku?

— Mówię, że dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów powinnyby wystarczyć dla ocalenia twego kredytu. Taka właśnie summa znajduje się w tym pugilaresie.

Kusiciel otworzył go, rozkładając banknoty przed oczyma Raynolda, który wziął je w drżące ręce, oglądał, ważył. Jak u masek starożytnych, twarz jego plakała jedną stroną, śmiała się drugą.

— Jak to! — szepnął. — Czyż uczynił byś to dla mnie? Tak wielka summa!

— Nie pomyślaj jej — przerwał mu Armstrong. — Dają panu te pieniądze.

— Mnie? Kto...

— Pitt. Idzie tylko o to, aby je zarobić.

— W jaki sposób?

— Jest to rzecz bardzo łatwa — odrzekł półkownik, zniżając głos. — Czyż nie jesteś członkiem tajemnego dyrektoryatu? Napisz do twych kolegów, wzywając ich na zgromadzenie. W zamian za ten list, który mi oddasz, suma znajdująca się w tym pugilaresie będzie twoją.

Tankred mimowoli uchwycił za rękojeść szpady.

Jednakże Raynold zdawał się wahać.

— Ależ to byłaby nikczemność! — zawołał. — Jak pan możesz proponować mi rzecz taką... zdradę...

— Słowa, słowa, jak mówi Hamlet — odparł półkownik. — Jeżeli odmówisz, zostaniesz shańbiony, zubożony i powieszony. Bierz pieniądze, gdyż to znaczy przebaczenie: życie i bogactwo.

— Ach, w jakąż przepaść chcesz mnie pociągnąć, kusicielu! — jęknął nieszczęśliwy. — Jak to, ty przyjaciel braci Sheares, ty, którego uważano za patryotę!

Armstrong odpowiedział z uroczystością:

— Tak, nie mylono się, jestem patryotą. Kocham moją ojczyznę, lecz nie po waszemu, nie na nędzny wasz sposób parafialny. Moim rodzinnym krajem nie jest ani Irlandya, ani Szkocya, ani Anglia. Jest nim wielka Brytania! Są to trzy siostry, które chcecie rozdzielić, nierozsądnie! Otóż ja pragnę je połączyć na wieki w jedną, nierozdzielalną trójcę, której udziałem będzie kiedyś wolność, potęga, sława! O wy szaleńcy, wy ośmielacie się uważać się za patryotów! I gdzież jest wasz wróg? Czy jest nim Anglia? Lecz cóż by się z wami stało bez tej Anglii? A cóż by ona uczyniła bez Irlandyi, która jest jej prawem ramieniem, tak, jak Szkocya, jest lewem? Ponieważ Anglia pragnie, aby wszystkie jej członki stanowiły jedność, sądzicie że was nienawidzi, że usiłuje was zniszczyć! O ślepi, potrójnie ślepi!

Tankred widział cud: przed oczyma jego odbyło się przemienienie, jak na górze Tabor. Tak, by-

ło to przemienienie podobne: z głębi ponurego fanatyka wyblysnął bohater.

— Naszym wrogiem — mówił dalej Armstrong z zapalem — jest jedynie Francya, owa Francya, która jak za czasów Shakespeare'a uważa się zawsze za rycerza Bożego, uważa się za Rzym, a nas za Kartaginę i która podniosła by się na naszej ruinie! Co zaś do braci Sheares...

Przy tych słowach głos półkownika zmienił się. Wzruszenie, którego nie zdołał przytłumić bez boleści, ścisnęło mu gardło.

— Bracia Sheares — kończył — są to zaci, choć szaleni ludzie i kocham ich całym sercem. Gdy żona Henryka gra na starożytnej harfie, nie umiem powstrzymać łez... Lecz co znaczą dla mnie bracia Sheares? Co znaczą wszystkie ludzkie związki? Po nad wszystkie osobiste przyjaźnie, podnosi się najwyższy obowiązek człowieka, dla którego potrzeba wszystko poświęcić: ojezyzna!

Tomasz Raynold spuścił głowę — widocznie miał za chwilę ustąpić.

— No, wybieraj! — zawołał Armstrong. — Z jednej strony ocalenie, szacunek...

— Szacunek! — powtórzył Raynold z goryczą.

— Tak, szacunek — odparł drugi — gdyż doniesienie nie jest hańbiącym wtedy, gdy ocala kraj od okropności wojny domowej. Ktoby mógł wyrzucić nam, że dla oszczędzenia strumieni krwi poświęcimy kilka jej kropel? Pisz, Raynoldzie... musisz... pisać!

— Nie ma potrzeby! — szepnął zdrajca. — Za pół godziny będą tu wszystkie.

— Judasz! — mruknął wicehrabia, podnosząc się powoli i gotów poskoczyć naprzód ze szpadą w rękę.

— Za pół godziny — rzekł Armstrong, podnosząc się z krzesła trzeba się więc spieszyć!

I z żywością skierował się ku drzwiom głównym.

Lecz już Tankred zastąpił mu drogę, wołając:

— Stój! Nie wyjdiesz ztąd!

XIII.

W a l k a .

Nagle zjawienie się Tankreda sprawiło prawdziwie teatralny efekt.

Jego postawa, jego słowa nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości co do zamiarów. Zatajował wyjście Armstrongowi.

Ten ostatni cofnął się w tył, wyciągając z kolei szpadę z pochwy.

Tomasz Raynold niemniej zdziwiony, lecz przerażony w inny sposób, znalazł swą broń na biurku. Z żywością pochwylił garść banknotów i przybiegłszy do wicehrabiego, aby mu je ofiarować, zawołał:

— Nie gub mnie! Oto pieniądze, znaczna suma... pański udział...

— Judasz! — powtórzył jeszcze raz wicehrabia, lecz tym razem głośno.

I gdy nędznik zbliżył się tuż do niego, rękojeścią swej szpady uderzył go silnie w głowę.

Tomasz Raynold zachwiał się, bliski omdlenia.

Lecz Tankred spostrzegł jednocześnie Armstronga, który się cofnął w róg pokoju, wydobywającego pistolety z za pasa.

Szybki jak myśl, wicehrabia schwylił ogłuszonego kupca za oba ramiona i postawił go przed sobą, zasłaniając się nim, niby tarczą.

Pierwsza kula świsnęła koło uszu Gaillefontaina, druga z głuchym odgłosem utkwiała w pierśiach Raynolda, który drgnął i konwulsyjnie poruszył się, konając.

Tankred odrzucił trupa, jako narzędzie, teraz już nieużyteczne, bo półkownik wystrzelił oba swe pistolety.

— Mógł bym to samo uczynić i z kolei zastrze-

lić cię, jak dzikiego zwierza — odezwał się wicehrabia z zimną krwią — lecz uczciwy Francuz gardzi podobną sposobnością ocalenia się. Wolę równą walkę — broń się półkownik Armstrong!

I podniósłszy w górę szpadę, szedł na przeciwnika.

Lecz ten był innego zdania i stanawszy za fotel, zawołał z wyniosłą dumą: — Jakim prawem mieszasz się pan do sprawy politycznej, która wcale nie należy do pana?

Z najwytworniejszą, prawdziwie arystokratyczną uprzejmością Tankred odpowiedział.

— Drogi panie, pomiędzy nami nie idzie o politykę, lecz o pewne wyzwanie, które łaskawie raczyłeś przyjąć w Wetzlar. Otóż mam zaszczyt zawiadomić pana, że właśnie z tego powodu umyślnie przybyłem do Anglii. Czyż miał byś zapomnieć półkownik, że przyrzekłeś mi stawić się na me rozkazy przy pierwszym naszym spotkaniu? Spotykamy się tu, oto wszystko... Broń się pan!

Armstrong odparł z gniewem:

— Dość tych żartów, mości panie! Nie jest to ani miejsce, ani pora do pojedynku. A zresztą nie mam teraz czasu... nie chcę... Później...

— Nie! — zawołał wicehrabia głosem stanowczym. — Nie zgadzam się na dalszą zwłokę. Broń się pan, powtarzam, niech żelazo roztrzygnie pomiędzy nami. Jeden z nas nie wyjdzie ztąd inaczej, jak po trupie drugiego!

— A więc niech i tak będzie! — ryknął morderca. — Ja wyjdę po twoim trupie, wicehrabio!

I licząc, że uprzedzi nieprzygotowanego przeciwnika, rzucił się nagle na niego.

Lecz Gaillefontaine miał się na baczności. Nagły ten i szalony atak odbił ową taktiką natarczywą, a jednak przytomną, nieomylną, której tajemnicę posiadała wówczas szermierska szkoła francuska.

Półkownik pojął od razu, że ma sprawę z silnym przeciwnikiem i przewidywał, że jeżeli odniesie zwycięstwo, to nie bez wysilenia.

Uspokoiwszy się więc, zatrzymał się również nagle, jak rozpoczął.

— Słówko tylko! — odezwał się. — Widzę teraz, że to sprawa nie na żarty. Zaskoczyłeś mnie pan niespodzianie.

— O, przepraszam! — zaprzeczył wicehrabia. — Sądzę, że to nie ja zasługuję na podobny zarzut...

— Pozwól mi pan skończyć — przerwał mu Armstrong. — Żądam od pana jedynie chwili czasu, abym mógł napisać parę wierszy do drogiej mi osoby.

— Hm. hm! — mruknął Tankred.

— Pragnę tylko napisać krótki bilecik, pewien rodzaj testamentu — mówił dalej półkownik — który nawet zobowiązuję się nie zapieczętować. Oto patrz, wicehrabio, włożę go w ten próżny pugilares, i jeżeli zginę, posłesz go według adresu.

Ów pugilares był właśnie ten sam, w którym znajdowały się banknoty.

— A więc spiesz się pan — zawołał ostro Tankred — gdyż i ja również nie mam wiele czasu.

Truciciel generała Hoche położył szpadę na biurko, usiadł w skórzanym fotelu i wkrótce pióro biegło szybko po papierze.

Gaillefontaine przez zbytek delikatności usunął się o kilka kroków.

Wierny tym razem danej obietnicy, półkownik napisał zaledwie dwa wiersze, włożył bilet w pugilares i podniósł się, jak gdyby dla oddania go wicehrabiemu.

Lecz nagle ruchem tak szybkim, że ten ostatni nie mógł mu przeszkodzić, wybił ręką szybę i wyrzucając pugilares za okno, krzyknął z całych sił:

— Brygadyerze Ryans, podnieś i co koń wyśkoczy zawięz rozkaz gdzie należy!

Potem rzekł spokojnie do Tankreda, który już jedną ręką uchwyciłszy go za kołnierz, drugą przyłożył mu koniec szpady do piersi: — Teraz

możesz mnie zabić — już nie zdołasz przeszkodzić memu dziełu!

W istocie na ulicy rozległ się okrzyk brygadiera, przekonywający, że złowieszczy rozkaz już znajdował się w jego rękach, poczem zaraz dał się słyszeć tentent oddalającego się konia.

— Och, jakim — że byłem szaleńcem, dając się oszukać tak nikczemnie! — zawołał Gaillefontaine, uniesiony gniewem i oburzeniem. — Dla czego i teraz nie przybiłem cię do ściany, jak jadawitą gadzinę? Ale nie jestem zdolny do zbrodni podłego zabójstwa... Bierz broń, lecz błagaj Boga, aby ci przebaczył twą nikczemność, gdyż jest On sprawiedliwy i już nic nie ocali cię tym razem od śmierci!

Poczem uderzywszy płazem po twarzy przeciwnika, cofnął się, aby mu zostawić miejsce do walki.

Rozpoczął się na nowo bój straszny, zacięty, śmiertelny. Teraz już Tankred nacierał — Armstrong bronił się, lecz z ową stanowczą i pełną przytomności pewnością doświadczonego szermierza, gotowego skorzystać z pierwszej sposobności i jednym cięciem zakończyć walkę. Zdawało się, że niepodobniem było, dosięgnąć go, że ręce jego i nogi były ze stali.

Gdy przecież osądził, że przeciwnik jego zaczyna się już nużyć, z pozycyi obronnej przeszedł nagle w zaczepną, silnem natarciem zmusił wicehrabiego do cofania się i to w szczęśliwym dla siebie kierunku. Gaillefontaine bowiem ustępując krok za krokiem, potknął się o trupa Raynolda i upadł.

Tego właśnie spodziewał się półkownik. Oczy jego zabłysnęły złowrogo, wydał chrapliwy okrzyk dzikiego zwierza, i jak by uniesiony pewnem zwycięstwem, rzucił się na swój łup.

Lecz Tankred już się podniósł i przyklął na jedno kolano. Szybka i silna parada odbił szpadę, już prawie dotykającą go. Poczem wyciągnął ramię.

Armstrong wbił się na szpadę aż do rękójści.

XIV.

Czy ich zdoła ocalić?

Półkownik Armstrong zabity, lub przynajmniej śmiertelnie zraniony, padł przewracając zarazem swego zwycięzcę.

Tankred zerwał się z żywością.

Teraz wreszcie mógł biedz do swych przyjaciół, mógł ich może ocalić jeszcze.

Czy zdoła to uczynić? Czy będzie miał jeszcze czas do tego?

Pobiegnąć do alkowy, nacisnąć mosiężną sprężynę, przebieść schody, wypaść na wązką i ciemną uliczkę to wszystko wykonał w ciągu jednej minuty.

Ulica była cicha i pusta, noc jeszcze ciemniejsza niż wprzód.

W oddali wybiła godzina na wieży. Czy nie nadeszła już pora schadzki członków dyrektorjatu?

Lecz obecnie było to już tylko łapką, której — należało koniecznie przeszkodzić. Lecz w jaki sposób? Gaillefontaine nie wiedział, gdzie ma kogo szukać, nie znał miasta, nie mógł uczynić nic bez pomocy Jakóba.

Portowa wieża uderzając jego oczy, przypomniła mu wskazówki Dzikiego Ira.

Powiedział: — Zejdziemy się w gospodzie pod Herbem Irlandyi — i Tankred pobiegł co tchu.

Na tamie portowej, ujrzał dwie czerwone latarnie i wszedł do oberży.

Ale Jakób nie przybył tam jeszcze.

Niepodobna opisać gorączkowego niepokoju wicehrabiego. Czas upływał. W końcu straciwszy cierpliwość, prosił gospodarza o przewodnika, już nie dla tego, aby miał szukać kapitana okrętu, lecz aby pobiedz do pałacu Leinster. Może zastanie tam jeszcze Fitz - Geralda?

Jakkolwiek szybkim był jego chód, przecież upłynęło dziesięć minut, zanim stanął na miejscu.

Fitz - Gerald już oddalił się ztamtąd.

Cóż czynić? Nic, tylko powrócić do gospody.

Pozostawiwszy za sobą przewodnika, który nie mógł zdążyć za nim, Gaillefontaine podążył z powrotem. Wyobrażając sobie swych przyjaciół pochwyconych i uwięzionych w domu zdrajcy, drżał z przerażenia i biegł jak szalony.

Kilku spóźnionych przechodniów odwracając się zanim, pytali sami siebie z zadziwieniem, co to była za burza ludzka, która w ten sposób pędziła, dysząc głośno jak maszyna. Na Krwawym Moście przewrócił jakąś starą kobietę i nawet nie zatrzymał się. Wreszcie wpadł do gospody.

Jeszcze nikogo!

Lecz zaledwie odpoczął minutę, Jakób ukazał się na progu.

W kilku słowach Tankred odkrył mu niebezpieczeństwo.

Oba rzucili się w ulicę.

Nieszczęśliwi, na których ezatowano, nie mogli już być ostrzeżeni, chyba przed samym domem Raynolda. Lecz czy już nie było za późno?

Gaillefontaine nie zwalniając kroku, uzupełnił opowiadanie. Jakób dowiedział się więc o niebezpiecznej okoliczności wyrzuczonego przez okno biletu, z którym brygadyer Ryans pojechał konno. Nie można było wątpić, że policya otrzymała wskazówkę.

Niepokój, obawa użyczyły im skrzydeł.

Zbliżając się do Kildare - street, usłyszeli szmer głosów i kroków. Dalej, już na rogu ulicy, prowadzącej wprost do domu Raynolda z miejscea, z kąd mogli dostrzedz całą jego fasadę, ujrzeni wszystkie okna jaskrawo oświecone.

— Dom już jest zajęty! — szepnął Jakób.

— Musimy przekonać się, czy znajduje się tam lord Edward — odpowiedział Tankred.

Przez oświecone szyby widzieli cienie, szybko przesuwające się po pokojach. Można było nawet rozróżnić błyszczącą broń żołnierzy.

Widocznie ścigano kogoś, może nawet walczono.

Pragnąc koniecznie pozyskać pewność, szli dalej naprzód lubo z ostrożnością.

Teraz usłyszeli krzyki i strzały, rozlegające się w głębi domu.

— Mordują ich! — zawołał Tankred. — O prędej bracie, spieszmy im na pomoc!

Jakób pochwycił go za ramię.

— Czyś oszalał wicehrabio? — szepnął cicho. — Nie widzisz — że, iż cały dom jest otoczony przez liczne tłumy żołnierzy?

W istocie przed bramą ukazał się znaczny oddział policyantów, niosących pochodnie. Jaskrawy ich blask oświecił szeregi dragonów, ustawionych w bocznej uliczce, na Kildare - street zaś kompania piechoty zagradzała główne wejście.

Na szczęście nasi dwaj przyjaciele znajdowali się pogrążeni w zupełnej ciemności — światło nie dochodziło aż do nich. Oficer, który bez wątpienia dosłyszał ich głos, zwróciwszy się w tę stronę, zawołał donośnym głosem: — Kto idzie?

W tej samej chwili w przyległych domach zaczęły się otwierać okna, a w nich ukazały się głowy przerażonych i ciekawych mieszkańców. Prawdopodobnie oficer sądząc, że hałas pochodził z tamtąd, zaniechał dalszego dochodzenia.

Cóż mogło uczynić dwóch ludzi przeciwko sile całego zastępu żołnierzy?

Nic! nie... niestety!

Jakób odciągnął wicehrabiego po za stosy cegły, ustawionej przed budującym się domem, które ujrzał o kilka kroków dalej.

W tem bezpiecznem schronieniu, zasłonieni rusztowaniem z desek, mogli wszystko widzieć dokładnie, sami niewidzialni.

Po chwili zobaczyli więźniów, wyprowadzanych z domu. O' Connor, potem doktor Słowius Jumble, sir Addis Emmett, bracia Sheares. Jakób wymieniał Tankredowi nazwiska, w miarę jak uwięzieni postępowali jeden za drugim, otoczeni szeregiem żołnierzy.

— Lecz Fitz - Gerald! Nie było go jeszcze! Co się z nim stało?

Kilku konstabli przeszło około rusztowania.

— Na szczęście wszyscy połapani, ani jeden nie uszedł! — odezwał się najbliższy idący policyant. — Ci bo nawet wcale nie bronili się, ale tamten, prawdziwy lew! Biedny brygadyer Ryans, tak zostać zabitym! I sędzia Swan jest śmiertelnie ranny i gdyby nie major Surr, który powalił rozbójnika strzałem z pistoletu...

Reszta słów utonąła w oddaleniu.

Tankred i Jakób stali się bledzi jak śmierć.

— Major Surr!... Dobrze wiedzieć! — mruknął Dzikie Ir.

— Cicho! — szepnął wicehrabia.

W tej chwili zbliżał się oddział żołnierzy, niosących tragi. Postępowali wolno i z ostrożnością. Jeden z policyantów przyswiecał pochodnią.

Na noszach, w pół osłoniętych pokrzwawionem prześcieradłem, leżał rozciągnięty ostatni więzień. Może już trup tylko.

Był to lord Edward.

Żył jeszcze. Wielka bladeść, szlachetny i pełen godności spokój jeszcze upiększały jego twarz. Przymknął oczy — zdawało się że spał.

Wtem jeden z niosących potknął się o kamień; ten gwałtowny ruch wstrząsnął silnie rannego, który nie mógł powstrzymać przytłumionego jęku boleści.

Współtowarzysze nieszczęśliwego, idący niedaleko przed nim, zatrzymali się. Jeden z nich doktor, przybiegł do noszów.

— Nic mi, nie! — odezwał się Fitz - Gerald. — Tylko kula w łopatec zabolala. Nie obawiaj się o mnie... Odwagi!

On jeszcze dodawał męstwa innym!

Gdy smutny orszak zniknął, gdy w około stała się noc i cisza, Tankred i Jakób podali sobie ręce w milezeniu.

Po chwili Dzikie Ir odezwał się ponurym głosem:

— Udam się w góry, zbiorę naszych ludzi, aby w razie potrzeby w ostatniej chwili spróbować rozpaczego środka. Może uda się nam odbić go przemocą?

— Co do mnie — odrzekł wicehrabia — pozostanę w Dublinie. Czy zdołam uczynić co dla lorda Edwarda? That is the question! Ale przyrzekłem miss Lucy, że będę czuwać nad jej bratem, i bądź co bądź dotrzymam obietnicy.

(Dalszy ciąg nastąpi)